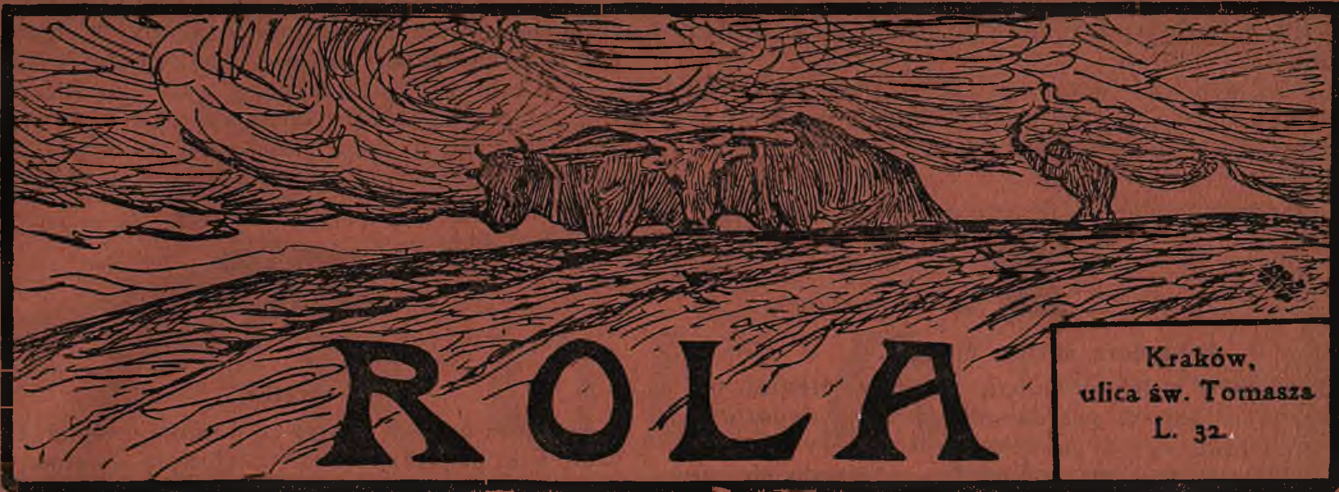
Numer 3. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 18 Stycznia 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Lepszy interes.

— Dlaczego, gosposiu, nie przynosicie teraz drobiu do miasta?

— Bo mi się nie opłaci, paniusiu. Puszczam drób na gościniec, aby je auta przejeżdżały. Dobrze mi za to płacą, a kur i kaczek nawet nie chcą zabierać.

Zapłata równą monetą.

Do teatru wchodzi nadęta dama w długiej powłóczystej sukni. W przedsionku pewien niepozorny gość nadeptał jej na powłokę.

— Czy ten wół oczu niema? — odezwała się pogardliwie.

— Przepraszam — była odpowiedź — nie wiedziałem, że krowa ma taki długi ogon.

W restauracji.

Gość uskarżał się u właściciela restauracji, że mu podano zepsute, cuchnące jaja.

Na to odparł restaurator.

— Panie! teraz nietylko między ludźmi, ale i między kurami panuje wielkie zepsucie i oszustwo. I kury teraz często zepsute jaja niosą.

W szkole.

N a u c z y c i e l: Pamiętaj, że żyjemy nato, aby pomagać drugim!

U c z e ń: A poco żyją ci drudzy?

Największy ciężar.

Pewien poważny człowiek, znany z trafnych i dowcipnych uwag, odezwał się zaraz:

— Kiedy widzę mężczyznę, jak na klęczkach przed kobietą wybraną ofiarowuje jej swe serce i rękę, to zdaje się, że mam przed sobą wielbłąda, który przyklęka tylko wtedy, gdy ma na siebie wziąć największy ciężar...

Za krótka.

— Niech mi pan doktór co poradzi — śpię zawsze z otwartemi ustami i przez to chrapię — mówi 200-funtowy p. Iksiński.

— Pan widocznie ma za krótką skórę: skoro zamknie pan oczy — otwierają się usta.

Jeden bolszewik do drugiego:

— Oho, stajesz się burżujem: masz szczotkę do zębów.

— Głupi jesteś! Po pierwsze — to nie moja szczotka, a po drugie — ja nią mieszam herbatę.

W lesie.

— Kobieto! A czyż też wy umiecie odróżnić grzyby trujące od dobrych?

— Ni! Ale nie potrza, bo ja je zbiram na sprzedaż!

Numer 3. Rok XIV. Kraków, dnia 18 stycznia 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Stanisław Żółkiewski.

Powieść p. t. »Cecora«, której druk rozpoczęliśmy w pierwszym numerze »Roli«, tylko epizodycznie przedstawia życie i czyny jednego z największych synów Polski, jakim był Stanisław Żółkiewski, główną zaś uwagę zwraca na rotmistrza Plichtę i jego przygody na polu bitew i w życiu codziennem. Aby jednak objąć całość ówczesnych wypadków, należy bliżej zaznajomić się z życiem i czynami Stanisława Żółkiewskiego.

Stanisław Żółkiewski od młodych lat zaprawiał się w sztuce wojennej pod wodzą męża tej miary, jak Zamoyski, zanim sam zaczął chodzić przeciw Tatarom i Kozakom. Kiedy król Zygmunt III oblęgał Smoleńsk, a towarzyszył mu Żółkiewski, nadeszła wiadomość, że car Szujski wysyła przeciw temu miastu na odsiecz ogromne wojsko pod komendą brata swego. Król rozkazał Żółkiewskiemu pójść naprzeciw tym wojskom w 8.000 ludzi, co też ochotnie spełnił, a dopadłszy niespodziewanie Szujskiego pod Kłuszynem, rozbił przeważne jego siły (40.000 wojska), poczem, jako zwycięzca, wszedł do samej stolicy Moskwy i wziął cara i jego dwóch braci do niewoli. W Moskwie będąc, Żółkiewski zniewolił Rosjan do powołania na tron carski Władysława, syna Zygmunta III. Królewicz jednak tronu nie osiągnął, co było wielką szkodą dla Polski.

W Warszawie przyjęto powracającego Żółkiewskiego z ogromną radością, a przy wjeździe do miasta wieziono za nim ujętych carów Szujskich.

Po dniach chwały, jakiej niewielu Polaków zaznało, nie spoczął hetman, lecz na kresach Rusi stał na straży nieustannie, znosząc niewygody i trudy życia obozowego. Ostrożność jego nie była zbyteczna, bo właśnie od tej strony szła burza wielka na Polskę. Ruszyli się właśnie Turcy, którzy Wołoszczyznę opanować chcieli i wyrzucić stamtąd księcia Gracyana, hołdownika Polski. Hetman odradzał wprawdzie wyprawy na nich, bo czuł, że nie ma dość sił, ale kiedy rozkaz od króla odebrał, nie zwlekał ani chwili, lecz przeszedłszy Dniestr, rozłożył obóz pod Cecorą, niedaleko Jass. Tam otoczony przez Turków i Tatarów, kiedy walcząc, jak lew, musiał cofać się, a do dania odwagi swym żołnierzom przebił konia swego szablą i piechotą bronił się, poległ na pobojowisku śmiercią bohaterską, wielu ranami okryty.

Dzień przedtem napisał piękny list do żony, w którym w przeczuciu tego, co nastąpić miało, te słowa skreślił: „Nie turbuj się Wasza Miłość, najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami; a chociażbym poległ, toż ja stary i na usługi Rzeczypospolitej już niezdatny, a Pan Bóg Wszechmogący da, że i syn nasz miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pogan zaprawi i pomści się krwi ojca swojego“. Ale tego strasznego dnia dostał się syn hetmański Jan, a także hetman polny Koniecpolski i wielu innych do niewoli pogańskiej. Głowę hetmana niesiono na żerdzi jako największy łup do Stambułu; ciało wydane za sowitym okupem spoczęło w Żółkwi. Wierna małżonka kazała na grobie wypisać ostatnie słowa męża: „Niechaj powstanie kiedyś mściciel z moich kości“.

Życzenie to spełniło się, chociaż znacznie później. Syn Jan powrócił wprawdzie do kraju, ale niebawem z ran, odniesionych pod Cecorą, umarł; córka Zofja wyszła za Daniłowicza, a wnuczka Daniłowiczówna za Jakóba Sobieskiego, którego syn król Jan III Sobieski pomścił krwawo zgon Żółkiewskiego i Turkom ostateczny cios zadał.

Cecora.

Powieść historyczna.

Adme trzęsła się jak w febrze.

— Ciebie ojcze pycha, a mnie serce boli — jęknęła.

Mitras usiadł na wzorzysto wyszywanej poduszce i sposępniał. Twarz, przed chwilą jeszcze uśmiechem i pogodą patrząca, obwisła i pochmurna się stała... Milczał — potem nieśmiało wzrok podniósł na Admę — i wyszeptał:

— Trzeba go było związać...

— Nie mogłam!... — zawołała Adme z rozpaczą.

— Cóż teraz myślisz, bo ja za głupi jestem do takich spraw?...

Adme dyszała szybko, walczyła z powstającym wciąż szałem, aż wreszcie trzęsącym się, urywanym, nabrzmiałym łzami i żalem głosem, odezwała się:

— Ja nie wiem... Może więcej widzę, niż jest, może jest więcej, niż widzę. Ale on nie takim był, gdy raz ostatni dom nasz nawiedzał. W tem coś jest, a może... ktoś jest.

— A jeżeli tak? — zapytał Mitras.

— Jeżeli tak?... — powtórzyła Adme.

Umilkła na chwilę, a oczy piorunami zabłysły.

— Jeżeli tak... Niech prosi Boga swojego, bym wpierw od niej skonała!

II.

Działo się to w r. 1617 na początku jesieni, a jesień była piękna, że śmiało ją nazwać można było wiosny przypomnieniem, takiem ciepłem darzyła, takie jeszcze skarby zieloności rozsiewała naokół, a choć gdzieniegdzie złociły się już listki na drzewach i obramywały się czerwienią, to złoto i ta czerwień dodawały tylko przepychu więcej przyrodzie całej, dziergając powoli płaszcz królewski, jakim się wkrótce przyodziać miała przodownica zimy białej.

Na wszystkich drogach, prowadzących od stolicy Rusi Czerwonej i zamku Żółkiewskiego, panował ruch niemały. Ciągnęły pułki lekkiej i ciężkiej jazdy, chorągwie pancerne, zaciągi szlacheckie i poczty panów, pomiędzy którymi przodował książę Samuel Korecki, osobiście proszony przez króla Zygmunta, by wziął udział w walce przeciwko Porcie Otomańskiej, której potęga zagrażała całości Rzeczypospolitej.

Aczkolwiek główną przyczyną zbliżającej się burzy, był właśnie ów pan Samuel kniaź na Korcu, który roku ubiegłego, bez wiedzy i pozwolenia stanów Rzeczypospolitej, wprowadzając na tron wołoski, strąconego przez padyszacha, hospodara Mohylę, a teścia swojego — najechał z bitnem rycerstwem zaprzyjaźnione z Polską państwo, zdobył Jassy, sto tysięcy Turków wymordował, aż sam popadł w niewolę i cudem prawie z niej się wydobył; król Zygmunt nie chciał mu swej niełaski okazać i w tak krytycznej chwili pozbawiać się pomocy możnego rycerza, tembardziej, że sam zajęty zdobywczą wojną moskiewską, musiał część wojsk od boku królewicza Władysława oderwać i wysłać na wzmocnienie niewielkich sił, jakiemi rozporządzał hetman wielki koronny, Stanisław Żółkiewski.

Nie przebaczający zbyt łatwo uraz i krzywd doznanych, szedł z doborowem rycerstwem kniaź Samuel, dumny potomek Olgierdowiców, herbu Pogonia, ożeniony z hospodarówną, Katarzyną Mohylanką, a szedł, by pomścić sromotę niewoli i hospodarstwo przy Mohyle utrzymać.

Zbliżająca się wojna nie uśmiechała się wcale królowi polskiemu. Plątała jego zamysły ku dalekiej północy skierowane, zresztą sojusz z Turcją, przez szereg koronowanych poprzedników jego zawarty, począwszy od Zygmunta I-go — święcie był przez Portę Otomańską dochowywany, tak, że Zygmunt Stary, pomimo nalegań cesarza Karola V, oraz Juljusza II, Leona X, Klemensa VII i Adrjana, papieżów — jako też Zygmunt August, wciągany przez nuncjusza Commendoni'ego, do przyłączenia się do ligi książąt chrześcijańskich, utworzonej przez Piusa V przeciw Turkom — dali głosy odmowne, zabezpieczając w ten sposób państwo polskie od wszelkich zatargów z groźnym sąsiadem.

Szabla polska nie lękała się krzywych pałaszy muzułmanów, lecz poco było jątrzyć sąsiednią potęgę, dochowującą wiernie traktatów?

Już i tak było dość gonitw za dzikiem tatarstwem, którego nawet władza padyszacha w karbach posłuszeństwa utrzymać nie mogła, ale samorzutne wyprawy panów polskich, jak Stefana Potockiego, Michała Wiśniowieckiego i kniazia Samuela, wzburzyły krew syna słońca, marzącego o świata podboju. Dał się jednak przekonać i teraz sułtan Ahmed posłom królewskim, Targońskiemu i Kochańskiemu, przybyłym w tej sprawie do Carogrodu, złożył nawet Tomżę, wsadzonego przeciwko paktom na hospodarstwo, lecz, gdy po odnowieniu ugody, czterdzieści tysięcy kozactwa ruszyło na Morze Czarne, spaliło Synopę i Trebizondę, spustoszyło ziemie i miasta i słodki sen haremowy potężnemu władcy przerwało — wysłał straszliwego Kantemira z hordą Tatarów na Ukrainę, a Skanderowi baszy rozkazał przejść Dniestr i Podolowi zagrozić.

Rzucona rękawica musiała być podjęta.

Na odsiecz ziemiom ruskim szedł hetman wielki, wspomagany przez poczty panów, głównych sprawców nieszczęścia.

Kniaź na Korcu nie odmówił swych usług i jakkolwiek miał pewną urazę do hetmana, przywiódł mu zastęp liczny, a w bojach zaprawny; miały się też połączyć z wojskami hetmańskiemi i pułki księcia Jerzego Zbaraskiego, krajczego koronnego, który w trzy tysiące koni jazdy doborowej ,od Berszady ku wojskom hetmańskim pośpieszał.

W rozwiane motyle bujały z wiatrem chorągwie ziem i województw, furczały proporczyki w czerwonych promieniach zachodzącego słońca, świeciły szable szlacheckie, miecze i zbroje rycerskie, ziemia drżała od tętentu kopyt i dział turkotu, moc ciurów sunęła za taborem, czuwając nad dobytkiem pańskim, a chorągiew hetmańska z herbem Lubicz Żółkiewskich i Pogonia-Koreckich, zdawały się przekomarzać z sobą i jedwabnym szelestem w napowietrzny swar uderzać. I tak, czerniejącymi jeszcze szlakami od ostatnich napadów tatarskich, wił się wąż barwny a długi, błyszczący a gwarny, sunąc ku południowo-wschodnim granicom ziem Rzeczypospolitej.

Pod Białym Kamieniem, na stepie, wojsko stanęło obozem. Rozbijano namioty, zaciągano straże, a choć żadnego napadu znikąd nie można się było spodziewać, Żółkiewski, jako uczeń ze szkoły Batorego, w rygorze trzymał wszystkich i rozkazywał spać pół okiem, pół uchem czuwać, jakby nieprzyjaciel był tuż za obozowiskiem. Bez opowiedzenia się starszym: rotmistrzom i namiestnikom, nikt nie miał

prawa z obozu się wysuwać, wszelki gwałt i burda ostro były karane, ciurów zaś czekały łozy za każde naruszenie porządku.

Zaledwie się wojsko zatrzymało, we wszystkich szeregach zawrzało jak w ulu.

Nie o spoczynku jednak myślano — nasamprzód trzeba było brzuchy głodne nakarmić i spragnione gardła przepłukać.

Przed namiotami panów zaczęli się uwijać kucharze w białych fartuchach, pajucy w kozackich strojach nieśli na tacach gąsiory win wybrednych i puhary ze szkła rżniętego, pacholiki bochny białego i czarnego chleba; potrącano się, łajano, czasami szeroki śmiech gdzieś wybuchnął, albo trefna piosnka żołnierska wyrwała się z gwaru i ciżby i wionęła przez powietrze, orzeźwione chłodem wieczoru.

Ale zapach pieczonego mięsiwa pierwszeństwo wziął nad wszystkiem.

Koło rozwieszonych na kozłach ćwierci wołów, zaczęły się kupić gromady wojowników i wciskać w płuca zapach miły. Wachlowały nozdrza, a szczęki mimowoli się poruszały. Gdy kucharze wzięli się do krajania mięsiwa, wszczął się gwar nie do opisania i ruch, jakby wojsko całe do szturmu iść miało. Jeno w namiotach pańskich i wojskowej starszyzny ucztowano porządnie, choć wino i tam rozwiązywało usta i do wesołości pobudzało. Sypały się trefne żarty i dowcipy, aż noc wczesna położyła dłoń milczenia na obóz cały.

Milczenie! — płoną tylko gdzieniegdzie przygasające ogniska, odezwą się hasła straży, koń gdzieś zarży i odpowiedź otrzyma, albo krzyk ciury przerwie milczenie, gdy z batem pańskim się zapozna.

Najdłużej uczta biesiadna przeciągała się w namiocie kniazia Samuela Koreckiego. Krążyły puhary, animusz się wzmagał, a z nim śmiech i gwar wzrastał, dobry zaś duch wojska całego, które na bój turecki z kawalerską fantazją szło — pozwalał słodkim marzeniom się oddawać i nowej sławy niezwiędłe splatać wawrzyny.

Na uczcie u kniazia było dużo zacnego rycerstwa, a i pan Plichta był, który zrazu przydan do boku królewicza, uczciwie na Moskwie się parał, lecz gdy potrzeba było pomoc panu hetmanowi wielkiemu wysłać, wyprosił się na ową wyprawę, bo, jak powiadał, różne już kości ogryzał, jeno jeszcze tureckiego ścierwa nie smakował.

Pomimo, że zboczył nieco z drogi dla zobaczenia pięknej Admy, wczas jeszcze w Żółkwi stanął i służby swoje hetmanowi polecił, z czego Żółkiewski był rad, bo znał Kostka, jako rycerza nieustraszonego, choć warchoła potrosze.

Plichta odrazu przypadł wszystkim do serca. Żółkiewskiemu z męstwa, Koreckiemu z warcholstwa się podobał, a niewiastom, które spotkał na dworcu hetmańskim, z miękkiego serca, do podboju, jak się zdawało, łatwego. Z Koreckim odrazu sobie dali gęby i dziś na uczcie piją a przymawiają.

Ze znaczniejszych był, młody jeszcze, Tomasz Zamoyski, syn Jana, wojewoda kijowski, powinowaty Żółkiewskich przez Herburtów, bo żona hetmana, Regina z Herburtów się rodziła; Herman Denhoff, młodzieniec waleczny, stojący na czele rajtarji cudzoziemskiej, Aleksander Kalinowski, starosta kamieniecki, Jan Tyszkiewicz i Stefan Chmielecki, szlachcic niebogaty, ale w wojaczce zaprawny i duszą całą wojennemu rzemiosłu oddany.

— Otóż tak, mości panowie! — kończył rzecz swoją kniaź Samuel. — Dawno takiego animuszu nie czułem, jak teraz. Ta wojenka uśmiecha mi się, jak dziewka gładka i da Bóg zalejem Turczynowi sadła za skórę, a tron wołoski Mohyłom powrócim.

— Dawno już nie była Rzeczpospolita nasza w opałach takich — ozwał się Chmielecki. — Wojna na Moskwie, a tutaj Turczyn psubrat zęby na nas pokazał.

— Wprzód mu je pokazał kniaź Korecki — rzucił Plichta — on jeno teraz odgryza się.

— Wybijem mu je, że mu się odechce próbować kaszy polskiej! — rzekł na to kniaź.

— Że się oparzy, to się oparzy! — Chmielecki na to.

— Hukniem mu: Ałłach! przed samym serajem! — zawołał pan Samuel.

— A znasz, kniaziu, tam drogę? — spytał szybko Plichta.

— Ot, o co pyta! — zaśmiał się Korecki.

— Pono łatwiej do Jedykuły tam trafić — odezwał się młody wojewoda kijowski.

— Nie siedziałbym w tej paskudnej turmie, gdyby nie krewniak wasz — odparł kniaź.

— Co, Żółkiewski?

— A waszmość nie wiesz o tem?...

— Odwołaniem ludu mojego z pod Jass, którem już zdobył i groził pomstą pohańcom za śmierć Wiśniowieckiego. Kniaź Michał umarł ze zgryzoty, gdy kupa go opadła i musiał wyrzec się dokonanego zwycięstwa. Kto go pomścić miał, jeżeli nie ja?

— Ale waszmość rzecz całą podjąłeś bez wiedzy i woli stanów koronnych.

— Miałżem prosić i nie otrzymać?

— Albo jest prawo, albo go niema! — rzucił Zamoyski.

— Albo jest wolność, albo jej niema! — odpowiedział wyniośle Korecki.

— Kniaź wolnością nazywasz upodobanie własne.

— Czy Rzeczpospolita dla nas, czy my dla Rzeczpospolitej?... — zawołał pan Samuel.

— Wpierw my dla niej, a potem ona z wypłatą pospieszy.

— W ten sens czyniąc, anibyś się opamiętał, panie wojewodo kijowski, jak *absolutum dominium* w poprzek drogiby ci stanęło.

— Jeżeli dom sobie budujem — odezwał się Plichta — to na to, by móc chadzać po izbach wszystkich i próg według swej woli przestępować, a nie poto, by nam: a zaś! ktoś mówił!

— Vivat, Plichta! — tu i tam zawołano

— Baczyć na nasze wolności musim! — huknął Tyszkiewicz.

— Ależ panowie a bracia! — znów odezwał się Zamoyski. — Dom każdy, by ład w nim był i gospodarza mieć musi. Gospodarzem onym jest prawo i rząd.

— My stanowimy rząd i prawo, więc wyżej jesteśmy praw wszelkich — zawołał Plichta.

— Przelewaliśmy krew nieraz za prawa nasze i wolność, a wżdy nie poto, by nas na jatki bisurmanom oddawać! — krzyknął Korecki.

— Żółkiewski i was, kniaziu, odwoływał, a molestował, byście wojną bezprawną nie nawodzili nieszczęścia na Rzeczpospolitą.

— Żem gromił?

— Nieproszony — dodał wojewoda.

— Wam się nie dziwię, że mówicie tak, krew Batorych w was płynie.

— A w was Olgierdów, którzy, zdaje się niezbyt smakowali w wolnościach podobnych — przyciął Zamoyski.

— Lecz od onego czasu dużo wody upłynęło i — Koreccy — dodał z przyciskiem pan Samuel — zasmakować mogli. Wy zaś...

— Co, ja zaś?... — rzucił się Zamoyski.

— Nie liczycie wieków za sobą — rzekł dumnie kniaź.

— Lecz zasług dość mamy, by zrównoważyć szale — z niemniejszą dumą odpowiedział wojewoda.

— Przyjdzie i na was chwila, że sztorcem staniecie.

— Wątpię!

— Pomyśli i o was pan hetman, poczekajcie ino trochę!...

— Ale waszmość grubą urazę masz do hetmana — odezwał się Plichta.

— Posiedź waść w Jedykuli, a potem ze mną gadaj — odparł Korecki.

— Zrobiłbym jako i wy! — rzekł Plichta.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Oszczędność.

Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą — powiada stare przysłowie. W pismach nawołują do oszczędności, wszelkie banki reklamują akcję oszczędnościową afiszami i skarbonkami, do oszczędności zachęcają odczyty, pogadanki — to też nic dziwnego, że ludzie na serjo poczynają oszczędzać...

Najochotniejsze do składania grosiwa są niewiasty, zwłaszcza zamężne. Niejeden mąż przechodzi kwarantannę oszczędnościową, doświadczając na sobie błogich skutków zbierania grosiwa...

— Michaś, dlaczego ty wydajesz tyle forsy na wódeczkę — zaczyna się w ten sposób kazanie o oszczędności...

Sprytniejszy małżonek robi kontratak i tłumaczy żonie, że wszelki alkohol ma własność konserwującą... Jak zapchać jakiego gada, węża, jaszczurkę, potworka-noworodka do słoja ze spirytusem, to się przez całe dziesiątki lat nie psuje...

— Dlatego widzisz, kochanie — wykręca się mąż, chlapię żołądek i jelitka okowitą, abym długo żył, a tobie dobrze się powodziło...

Obrotna połowica jednak mimo takich racjonalnych tłumaczeń męża potrafi obciąć wydatki na knajpkę i po 4 tygodniach świergoli:

— Widzisz, już się zebrało za miesiąc 25 zł... Za cztery miesiące będzie setka. Gdybyś tak przestał palić, znów uszperałoby się 10 zł. na miesiąc...

Nie pomogą bujania męża o lekarskich właściwościach dymu, dzięki któremu wędzona kiełbasa utrzymuje się długo świeża — energiczna niewiasta wykreśli z budżetu osobistego męża pozycje na tytoń lub cygara...

Dalsza oszczędność redukuje mydło i pranie robi się raz na 3 miesiące. Kiedy mąż skarży się na brudną koszulę, rozstropna mężatka zaraz go zbije z tropu:

— Wielki gwałt o brudną koszulę! Mussolińskie faszysty noszą całe koszule czarne, jak noc i jeszcze tem się szczycą! A ty o brudny mankiet tyle wymyślasz!... Serce czyste — to grunt! — kończy ślubna filozofka, przystępując do nowych kroków oszczędnościowych...

Redukuje palenie światła w nocy, bo na to Bóg dał księżyc, aby nie wydawać niepotrzebnie na naftę, gaz lub elektrykę. Zresztą porządni ludzie śpią w nocy i hipoteka małżeńska jest aktywniejsza, gdy małżonkowie wcześniej spać się kładą...

Wykreśla się z budżetu domowego pastę do zębów i do obuwia. Zęby można wyszorować piaskiem, a trzewiki czyścić tylko podczas pogody i tosadzą z komina zmieszaną ze śliną...

Dziury w bucie nie trzeba łatać, bo za to się płaci... W ostateczności można wychodzący dziurą z buta palec też usmarować na czarno i dziury znać nie będzie; za to w Kasie oszczędność wzrośnie znowu o kilka złotych...

— Za kilka miesięcy uzbierała się poważna suma 600 złotych! — triumfuje zapobiegliwa gosposia, oszczędzając na bieliźnie, odzieży męża i dzieci, redukując do minimum wydatki na codzienne potrzeby.

Skwaszony, jak ogórek mąż, z niemą skargą patrzy na dziury w znoszonym surducie... Z tępą rezygnacją spogląda na obdarte dzieci — trudno — ale w szufladzie uzbierało się sporo stuzłotowych banknotów...

Raz zimową porą, kiedy mąż wrócił z biura, uśmiechnięta jak słońce wiosenne małżonka wyjęła z torebki maleńkie zawiniątko i wręczyła mężowi: To dla Ciebie, mężusiu, widzisz, jak Cię kocham!...

Tknięty złem przeczuciem rozwinął małżonek zawiniątko i wyjął nowiuteńkie jedwabne... szelki...

— A to kupiłam dla siebie z tych oszczędności — wskazała pani na futro fokowe, błyszczące zwojem kręconych włosków...

— Kobieto! ryknie mąż... — Kołdry niema do przykrycia dzieci, pościel podarta... a ty wyrzuciłaś wszystko na jedno futro!...

— Ale takiego futra nikt w mieście niema! — rzeknie małżonka... i moją sąsiadkę krew zaleje, gdy futro zobaczy... A chyba warto było dlatego oszczędzać...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Czy warto było oszczędzać?... małżonek nie odpowie, bo wieszając się na jedwabnych szelkach nie zdążył już krzyknąć:

— Niech żyje oszczędność! *Wł. Łukasik.*



Hasła.

Ogniście płoną gwiazdy Czynu,
duch skrzydłem sięga nieba —
nad ziemią mkną błękity sine
za niemi iść nam trzeba...

Potęgą ducha kuć granity
nie każdy chęcią zdoła —
z odkrytem czołem w mrok spowity
pójść tam, gdzie Prawda woła...

Dać bliźnim: serce, myśl i wolę,
i uścisk bratniej dłoni —
zrozumieć twardy los niedoli
w cierniowej jej koronie...

Wziąć na się brzemię ciężkich trudów,
iść śmiało w cel wytknięty —
dobrocią duszy tworzyć cudy,
to hasło nasze święte!

Marja Halpern.

Niszczyciel wioski zgładzony.



W rolniczym kraju najgroźniejszemi wrogami polskich wiosek były niedźwiedzie i wilki. Pierwsze, straszniejsze nawet dla dobrze uzbrojonego myśliwego, z wyniszczeniem lasów i z wycięciem wielkich puszczy, już prawie zniknęły i w zapadłych tylko kniejach borów litewskich, oraz w Karpatach Wschodniej Małopolski jeszcze gdzieniegdzie czasami się ukazują.

Mniej niebezpiecznym, choć niemniej żarłocznym był wilk, gdyż, szczególniej górale, hodowali gatunek białych psów rosłych, tak silnych i odważnych, że byle pies taki miał tylko obrożę kolczastą, broniącą jego karku, w pojedynkę dawał sobie zawsze radę z najpotężniejszym wilkiem. W dolinach wilki były jednak niebezpieczniejsze, gdyż małe kundle równinowe nie mogły sobie z nimi poradzić.

Konie wrodzonym instynktem przed pojedynczym wilkiem ocalić się zdołają uderzeniem kopyta, ale woły i krowy, oraz owce stają się ofiarami tego żarłocznego zwierza, o ile się gdzieś w jakiejś wiosce pokaże. A ukazują one się niemal każdej zimy w północnej Polsce.

Obora, ani owczarnia nie może być bezpieczną ochroną, bo przemyślne wilki zręcznie się podkopać potrafią pod podwaliny, wydusić owiec część znaczną i unieść, co zdołają, zaspokoiwszy głód swój żarłoczny.

Na naszym obrazku widzimy, jaką radość i ciekawość wzbudziło zgładzenie wilka. Z całej wsi schodzą się mieszkańcy i oglądają tego wroga, który długo był postrachem nietylko trzód domowych, ale i samych mieszkańców, gdyż wiadomo, że wilk w zażartości swojej z równą zaciętością rzuca się na zwierzęta, jak i na ludzi, szczególniej gdy staje w obronie własnej. Po strojach wieśniaków możemy poznać, że scena, przedstawiona na obrazku, nie pochodzi z czasów obecnych, ale z przed lat sześćdziesięciu.

Myśliwi zwykle po zdjęciu skóry zawieszają zabite wilki w pobliżu mieszkań dla postrachu innych, któreby się jeszcze mogły zjawić w okolicy. Na szczęście drapieżców tych coraz mniej u nas, a jeżeli się gdzie pojawią, to je tam prędko myśliwi wyniszczą.

Tragedja pana Piernikowskiego.

Humoreska.

Pan Piernikowski był właścicielem dobrze prosperującego sklepu z łakociami i pięknej żonki Jagusi, w której był na zabój zakochany, a którą często podejrzewał o niewdzięczność małżeńską i robił jej wymówki. Pewnego razu, gdy obojga państwa w domu nie było, służąca Wikcia ubrała się w piękny strój swej pani i skonstatowała w lustrze, że jak kropla wody jest do swej pani podobną.

W tym czasie przyjechał na urlop narzeczony Wikci, który był plutonowym. Po bardzo uczuciowem powitaniu narzeczonej, która była przebrana w strój swej pani i po zjedzeniu całej masy ciastek i pierników, plutonowemu przyszła ochota uściskać narzeczoną, do czego się zabrał z prawdziwym temperamentem żołnierskim. Gdy już krew w nim kipieć poczęła, wpada pan Piernikowski i ze wściekłością rzuca się na pana plutonowego. Wojak, rozłoszczony za przerwanie mu zamierzonego dzieła, łunął pana Piernikowskiego w twarz, który się zatoczył w kąt pokoju i jęczał z bólu.

— Toś ty taka, — wrzasnął plutonowy do narzeczonej — to tak przysięgałaś mi miłość i wierność, a ja się dowiaduję o strasznych rzeczach, a dowodem ten oto gość. Pewnie Twój kochanek, bądź zdrowa! Zrywam wszelkie węzły, które nas łączyły.

Zasalutował i chciał odejść, lecz Wikcia nie rozumiejąc całej sprawy, popadła w nastrój prawdziwie histeryczny. Śmiała się i płakała na przemiany, trzymając narzeczonego za poły płaszcza, chcąc sprawę wyjaśnić. Ale on już nie dał sobie nic powiedzieć, wyrwał się, trzasnął drzwiami i poszedł.

Wikcia w płacz. Pan Piernikowski był pewien, że to jego ukochana żonka tak ryczy, a że był bardzo czuły na płacz, który go zawsze chwytał za serce, chciał więc dać znak, że jej przebacza. Runął przeto na kolana i począł całować po rękach i nogach Wikcię, myśląc, że to jego żona, prosić i błagać, by mu przebaczyła i płakać przestała, a już jej nigdy nie powie marnego słowa.

Wikcia już do reszty głowę straciła, nie wiedząc co odpowiedzieć. Zaczęli więc beczeć oboje. On na kolanach tuli swą głowę do jej łona, a ona go gładzi po włosach.

Wtem, o zgrozo! wchodzi prawdziwa jego żona, pani Jagusia i widzi męża na kolanach i Wikcię, gdy siedzi w jej stroju, jak jaka królowa. Nie namyślając się długo, skoczyła do nich, jak pantera, oczy jej się zaiskrzyły i dalejże Wikcię walić po twarzy i targać ją za włosy.

W rezultacie wyrzuciła ją ze służby.

A pan Piernikowski? Nie radziłbym nikomu przechodzić tego, co on przeszedł w tej scenie. Z głową rozbitą garnkiem, oczami podbitemi uciekał do swego gabinetu, rozmyślając o całej sprawie, lecz nie mógł pojąć, jak się to wszystko stało. Przed godziną przyszedł do żony wojskowy, dostał od niego po twarzy, to znów przeprasza żonę, całuje aż płacze, tu znowu druga żona wpada, jak szalona, bije jego żonę po twarzy i targa za włosy. On przytem ma głowę rozbitą i oczy podbite! Nie mógł tego wszystkiego w żaden sposób pojąć, a gdy zasnął, we śnie przeżywał nową tragedję.

Od tego czasu pan Piernikowski chodził, jak struty, nie śmiał spojrzeć żonie w oczy i tak w gniewie płynęły długie dnie męczące. Aż razu pewnego Wikcia, nie mogąc znaleźć służby nigdzie, wraca do p. Piernikowskich i przez inną osobę wyjaśniła rzecz całą, ale pan Piernikowski dalej nic a nic nie rozumiał, bo dostał obłędu i żył w mniemaniu, że ma dwie żony.

Józef Kunda.



Są ludzie na świecie, co okrutecnie lecą na hunory. A takich ludzi na sto jest dziewięćdziesiąt dziewięć i pół. Kuzdyby z nich chciał być ministrem, posłem, a jak sie to nie da, to choć wójtem w Psiej Wólce, albo policyjanem gminnem w Zatraconej Wsi. Nie wybrać go jednem z takich dygnitarzy, to obraza Boska, Sodoma i Gomora i koniec świata. Jemu sie zdaje, ze bez jego rozumu, to świat sie zawali, Polskę zagarną Miemiaski, albo inkse bolsewiki, a Psią Wólkę djabli wezną. I ceka, kiedy sie to stanie, a jak sie nie staje według jego myśli, to mu gębe zółtacka zaliwa i flaki z brzucha na wirzch wyłażą.

Jagem był przy wojsku, to pon kapral zawse powiadali:

— Ty Maciek mas łeb, jak choroba świńska, ze moznaby niem kamienie tłuc na gościeńcu. I gdybyś ty jeno chciał i mógł, tobyś wszyćko wiedział.

Mnie sie widzi, ze choć zaden kapral jesce prochu nie wynalazł, to przeciez często i najgłupsiejsy ma słuszność. A i ze ten miał słuszność, tom sie przekonał w późniejsem zyciu. Bo jak gdzie na kogo kiedyś przysła jaka strapacyja, to dalejze do mnie, jak w dym o radę w tem i owem. Tak było zawse, tak jest i teraz.

Z końcem lutego mają być wybory do rady gminnej w Psiej Wólce, latego tez juz teraz łażą do mnie rozmaite gospodarze i gospodynie i proszą mnie, abym jem poradził, jak tu zostać radnem lub radnicą. Wkiejsik nawet o północku wlazła do mnie na wyrko Baśka Leluskowna i prosiła mnie, abym jej co poradził, bo ona ma wielgą ochotę. I nie ma sie jej co dziwić, bo teraz nawet w sejmach są rozmaite makolągwy poślicami, to lacegózby taka Baśka nie mogła zostać w takiej Psiej Wólce choćby radnicą.

W inksy wsi, toby sie tam nikt nikogo o takie rzeczy nie pytał, bo w inksy wsi wiedzą, ze sami gospodarze znają sie na swoich somsiadach i co najmorowsych do Rady gminnej wezną, ale w Psiej Wólce to wszyćko idzie sacher-macher. Jak my jesce przed wojną ostatni raz wybierali wójta, to wszyscy myśleli, ze zostanie niem Pieter Kapusta, co to i rozum miał w głowie i w niebie najstarsego świętego za patrona, ale jak to spenetrował nas Mosiek Śnapswasser, tak pada do chłopów:

— Cie wy! Jakiewyście głupie! Poco wam taki wójt, co ani do karcmy nie przyjdzie, ani sie z wódkiem nie napije? Jak on będzie rządził w takie Psi Wólkie, jak on sie z porządnemi gospodarzami przy kielisku nie naradzi?

I Pieter Kapusta nie został wójtem, ino Walanty Powsinoga, co nawet w casach wielgiej wojny i największego przednowku z karcmy nie wyłaził.

A ze to przy wójcie, który trunkowość lubi, i radny casem coś chlapnie, latego w Psiej Wólce kuzden chciałby być radnem. A ze teraz i bylejaka dziopa ma takie same prawa, jak sam uniwersytecki prefesur, bez to i dzieuchy lecą na radcostwo, bo se kuzda z nich myśli, ze moze gdzie na jakiej konwisyji prędzejby jej tam gdzie, ktoś, kanyś, jakosik poradził.

Wkiejsik przychodzi do mnie Bartek Wrona i po zagadywaniu o tem i o owem powiada:

— Wis, Maciek, tyś ta bywały w świecie, boś i z jegomością nieraz gadał, a przy wojsku siarży buty pucował, tobyś ty mi moze poradził, jakby to ostać radnem?

Poźrołem na Bartka i śmich mnie wzion śniego. Chłop, coprawda, jak i inne, wszyćko ma na swojem miejscu: portki na nogach, a capę na głowie, ale we łbie nic, ino na łbie trochę kudłów.

— Eee! Bartłomieju! — powiadam — wyście ani na policaja gminnego niezdatni, a nie dopiero na radnego i to takiej gminy sławetnej, jak Psia Wólka, o której nawet w gazytach piszą!

— Naprawdę? A cemu? — pada Bartek.

— A temu, zebyście nie poradzili nijak radzić, bo na to głowy ni macie. A i z inksemi rzecami niewiadomo, jak tam jest, boście przecie juz śtyry lata zeniaci, a jesce ani jednego pędraka ni macie.

— A przecie w nasy Radzie są jesce głupsiejse, a są — powiada Bartek.

— To tez latego, ze są jesce głupsiejse, to w nasej gminie nima zadnego porządku. W inksej gminie wszyćko jaz radość, a u nas wszyćko źle.

— Ale mnie sie przecie nie o to rozchodzi, zeby było we wsi dobrze, bo co mi tam, ino o to, zebym ja był radnem, a to przecie jedno drugiemu nie przeskadza.

— No to pocałujcie psa w nos! — ja na to i posedem do chałpy.

Ale to zdaje sie nic nie pomoze, bo u nas juz tak jest, ze głupi ma zawse scęście, więc tez mozna przypuscać, ze i Bartek przy wyborach nie ino radnem, ale może i wójtem zostanie.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar II.



Wyprawa na pirogu.

W poprzednim numerze „Roli“ mówiliśmy o Zanzibarze; dziś przeniesiemy się na sąsiadujące z nim wyspy Lamu i Pate. Są to wyspy oddzielone od lądu stałego Afryki niezbyt szeroką cieśniną. Przeznaczeniem ich jest ciągła ze sobą walka, a nawet obecnie pod opieką ras europejskich spełniają one godnie to przeznaczenie.

Wyspie Lamu wysokie piasczyste brzegi nadają od strony morza bardzo posępną cechę, lecz skoro się wdrapiemy na wierzchołek którego z tych pagórków, porośniętych tylko karłowatemi krzewami, wówczas śliczny przed okiem naszem roztoczy się widok. Widnokrąg zamyka las palm kokosowych, wśród których tu i ówdzie drzewa mangowe wznoszą liściastą swą koronę. Grunt jest piasczysty, wodę słodką można znaleźć na niewielkiej stosunkowo głębokości i niektórzy Arabowie, wykopawszy studnie i niewielkie kanały, urządzili sobie ogrody, w których rosną banie, kawony, jak również palmy daktylowe, fikusy, róże i jaśminy. Palma kokosowa dostarcza wina palmowego, zwanego „tembo“, które się pije zwykle przed fermentacją i nader smaczny stanowi napój. Na wyspie Lamu jest miasto tego samego nazwiska, oraz trzy niewielkie wioski: Szela, Kipungani i Matondoni.

Miasto Lamu widziane zdaleka wygląda wcale interesująco. Najprzód widać wzniosłe wzgórze, na niem zaś zwaliska jakichś dawnych budynków, dalej palmy kokosowe, a wreszcie dwie grupy malowniczych domków, zbudowanych na dwóch przeciwległych sobie wzgórzach, u stóp których mieści się cytadela, służąca za warownię i więzienie. Z przodu przystań i komora celna, z prawej zaś i lewej strony dwie długie ulice z murowanemi domami, zamieszkanemi po większej części przez bogatych kupców. Ludność tego miasta składa się z Arabów, Beluczów, Swahilów, Indusów, Banyanów oraz pewnej ilości Europejczyków.

Islam jest urzędową religją tych wszystkich, których łączy z Arabami wspólność krwi i pochodzenia, lub niewolnicza zależność.

Na północy od Lanu leży wyspa większa od niej i znana ogólnie pod nazwą Pate. W rzeczywistości nie posiada ona właściwego miana, zamieszkują ją bowiem trzy odrębne plemiona, osiadłe w trzech głównych punktach: Pate, Siyu i Paza. Pate, najzna-



Przygoda na polowaniu.

komitsze z tych trzech miast dziś nędznych i opuszczonych, zostało założone podług miejscowej tradycji przez pewnego Araba imieniem Ben-Arussi i miało niegdyś wiele chwil szczęśliwych. W XVI wieku Portugalczycy zbudowali tu kaplicę, która była obsługiwana przez OO. Augustjanów, liczne zaś murowane domy, stanowiące współczesne miasto, świadczą o minionej jego świetności.

Nie trzeba chyba dodawać, że tak mieszkańcy Zanzibaru, jak i sąsiednich z nim wysp chętnie pływają tak po kanałach, oddzielających poszczególne wyspy, jak i po nielicznych tamtejszych rzekach, również niejednokrotnie zapuszczają się i na morze za połowem ryb. Do wodnych swych przejażdżek używają tak zwanych pirogów zanzibarskich, u nas wcale nieznanych. Jest to poprostu pień drzewa, mniej lub więcej lekki, który krajowcy zrąbują, wydrążają i spuszczają na wodę. Piróg taki widzimy na naszym pierwszym obrazku. Siedzi w nim dwóch misjonarzy europejskich, na przedzie stoi jeden krajowiec, a drugi wiosłuje. Piróg płynie wartko, gdyż posuwa się z biegiem rzeki.

Czasem zdarzy się, że pień drzewa, z którego sporządzono piróg, jest pęknięty, wówczas szpary zalepiają błotem, które rychło twardnieje, dno łodzi wyścielają suchą trawą lub palmowemi liśćmi i podróżni wsiadają. Płynąc w takim pirogu, można leżeć, siedzieć, stać, spać, marzyć, czytać, pisać; nudzić się, ziewać, a nawet wpaść w wodę, jeżeli się piróg zabardzo na jedną stronę przechyli.

Nad brzegami rzek są drzewa rzadkie, ale przedstawiają wspaniały widok, jak to zresztą możemy zauważyć na naszych obrazkach. Oprócz drzew rosną tu jeszcze ogromne trawy, banany, trzcina cukrowa i ryż.

Tubylcy nie obawiają się zupełnie wody, gdyż ubranie nie krępuje ich w niczem. Widzimy to na naszym drugim obrazku. Oto jakiś misjonarz wybrał się łodzią na polowanie na wodne ptactwo. Kiedy już ustrzelił upatrzoną zdobycz, krajowiec, służący mu za przewoźnika, zobaczył swą ofiarę, wynurzającą się z wody. Nie namyślając się długo, rzucił wiosło, a sam runął do wody, aby uchwycić zabitego ptaka. Są oni pod tym względem tak zręczni, że ani wątpić nie można, że zamiar ten udał mu się w zupełności.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

Twarz jego trochę przybladła przy tych słowach, ale całe zachowanie świadczyło, że nie myśli ustąpić z placu.

J. R. Taskinar był cały rozpłomieniony. Olbrzymia jego twarz przypominała czerwono pomalowaną tarczę, którą urzędnik ruchu daje pociągowi sygnał zatrzymania się. Przeciwnik jednak nie zwracał uwagi na ów sygnał, pełną parą biegnąc dalej. J. R. Taskinar czuł to doskonale.

Krew mu uderzyła do twarzy, drgającej jak w ataku apopleksji. Grubemi palcami, błyszczącemi od najkosztowniejszych brylantów, przesuwał po ciężkim złotym łańcuchu, na którym nosił zegarek. Przez chwilę przyglądał się swemu przeciwnikowi, poczem przymknął oczy, by je natychmiast otworzyć, gorejące jeszcze większą nienawiścią.

— Dwa miljony pięćset! — krzyknął wreszcie, przekonany, że tą nadmierną wygórowaną ofertą położy koniec dalszej walce.

— Dwa miljony sedemset! — bardzo spokojnie rzucił Wiliam W. Kolderup.

— Dwa miljony dziewięćset tysięcy!

— Trzy miljony!

Tak! Wiliam W. Kolderup ze San Francisko podbił na trzy miljony!

Entuzjastyczne oklaski! Ucichły jednak, gdy licytator powtórzył ofertę, a młotek jego wskutek bezwiednego ruchu muszkułów, opuścił się szybko ku stołowi. Zdawało się, że nawet licytator, jakkolwiek całkowicie znieczulony na niespodzianki publicznych licytacji, nie umiał się już dłużej hamować.

Oczy wszystkich skierowały się na J. R. Taskinara. Okazały osobnik czuł na sobie te wszystkie spojrzenia, ale jeszcze dotkliwiej czuł ciężar trzech miljonów dolarów, pod którym zdawał się uginać. Chciał przemówić, ale nie mógł. Chciał potrząsnąć głową, ale i tego nie był w stanie wykonać.

Nareszcie wydobył głos z krtani, cichy wprawdzie, lecz dostatecznie głośny, by usłyszano ofertę.

— Trzy miljony pięćset tysięcy!

— Cztery miljony! — brzmiała odpowiedź Wiliama W. Kolderupa.

Było to ostatnie uderzenie maczugą. J. R. Taskinar uległ. Młotek opadł na marmurowy blat stołu. Wyspę Spencera przydzielono Wiliamowi W. Kolderup ze San Francisco za kwotę czterech miljonów.

— Ja się zemszczę! — mruknął J. R. Taskinar.

Rzuciwszy jeszcze jedno nienawistne spojrzenie na zwycięzcę, wrócił do hotelu.

W uszach Wiliama W. Kolderupa rozbrzmiewał tymczasem trzykrotny okrzyk: hip! hip! hurra!! — Okrzyki te towarzyszyły mu aż do ulicy Montgomery, a entuzjastyczny zachwyt Amerykanów był tak wielki, że całkiem zapomnieli o odśpiewaniu swego Yankee-doodle.

ROZDZIAŁ III.

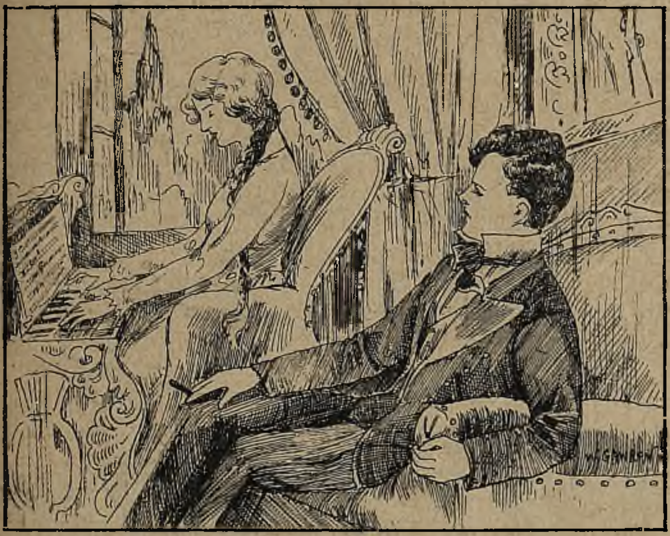
Wiliam W. Kolderup wrócił do swego pałacu przy ul. Montgomery.

Była to najbardziej ożywiona ulica w San Francisco, gdzie koncentruje się cały ruch, gdyż przecina ona równolegle miasto wraz z jego portami. Niezliczone mnóstwo tramwajów, bryk, zaprzężonych w konie lub muły, gromady spieszących się ludzi, tłumy innych, wystających przed bogatemi i licznie zwiedzanemi magazynami, a jeszcze liczniejsze przed drzwiami restauracyj i szynków, sprzedających napoje, które nawet w Kalifornji uchodzą za pierwszorzędne — oto w przybliżeniu obraz ulicy Montgomery.

Zbytecznem byłoby opisywać pałac bogacza z Frisco. Rozporządzając nadmiarem miljonów, rozwijał też w swej siedzibie nadmiar przepychu, przytem większy nacisk kładziono na komfort, niż na stronę estetyczną, a względy praktyczne przeważały nad artystycznemi. Wszystkiego było zresztą poddostatkiem. Wystarczy jednak powiedzieć czytelnikowi, że był tu również wspaniały salon, a w chwili, gdy bogaty Kolderup wchodził, poprzez duszną atmosferę dobiegły go dźwięki fortepianu.

— Dobrze! — rzekł do siebie. — Ona i on są tutaj. Słówko tylko z kasjerem i zaraz będziemy mogli porozmawiać.

Wszedł do swego gabinetu, by załatwić sprawę dotyczącą kupna wyspy i odrazu pozbyć się jej z głowy. Do załatwienia wystarczyło napisać parę czeków, celem pokrycia należności gotówką. Wystarczyły cztery słowa do kasjera, poczem Wiliam W. Kolderup miał się zająć inną „kombinacją" bardzo mu leżącą na sercu.



Siedział rozmarzony i zasłuchany w tony muzyki...

Tak! Ona i on są w salonie. Ona przy fortepianie, on w pozycji nawpół leżącej na sofie, rozmarzony i zasłuchany w tony muzyki, wybiegające z pod palców tej uroczej istoty.

— Czy słuchasz? — spytała.

— Naturalnie!

— Czy mnie jednak rozumiesz?

— Czy ja cię rozumiem? Fino, nigdy jeszcze tak znakomicie nie odegrałaś warjacyj Auld Robin Gray'a.

— Ależ Godfreyu, ja wcale nie gram Auld Robin Gray'a, lecz „Happy moment".

— Zdawało mi się — odparł Godfrey tonem wyraźnej obojętności.

Młoda dziewczyna podniosła ręce i przez chwilę trzymała palce rozpostarte nad klawjaturą, jakgdyby miała zamiar je opuścić i wydobyć akord. Następnie odwróciła nawpół swój taburet i przez chwilę przyglądała się Godfrey'owi, starającemu się uniknąć jej spojrzenia.

Fina Hollaney była chrzestną córką Wiliama W. Kolderupa. Wychowywał ją jako sierotę, darząc prawem uważania się za jego córkę, oraz obowiązkiem kochania go jak ojca. Wywiązywała się z tego należycie. Była młodą i miłą, ale też bardzo ładną szesnastoletnią blondyną, mającą też w sobie coś z brunetki, a mianowicie oczy tak czarne, że aż miały odcień fjołkowy. Nie omieszkamy ją porównać z lilją, lecz lilją zaszczepioną na głogu silnym, wytrzymałym. Niewątpliwie młoda ta miss miała dużo serca, ale obok serca miała dużo praktycznego rozumu i samodzielności, to też nie więcej, niż sama chciała, ulegała czarowi złudzeń i marzeń, właściwym jej płci i wiekowi.

— Godfreyu? — rzekła.

— Fino? — brzmiała odpowiedź.

— Gdzie jesteś w tej chwili?

— Przy tobie... w salonie.

— Nie przy mnie, Godfreyu! Nie w tym salonie... lecz daleko, bardzo daleko... po drugiej stronie Oceanu, nieprawdaż?

Ręka Finy mechanicznie błądząc po klawiaturze, wydobywała szereg akordów septimowych, których melancholijnego brzmienia nie rozumiał może siostrzeniec Wiliama W. Kolderupa.

W tym bowiem stosunku pokrewieństwa pozostawał młody człowiek do bogatego pana domu. Jako syn siostry nabywcy wyspy, wcześnie osierocony, Godfrey Morgan od szeregu lat wychowywał się tak samo jak Fina w domu wuja, który w ciągłej gorączce interesów, nigdy nie miał czasu pomyśleć o ożenku.

Godfrey liczył teraz 22 lata. Ukończywszy studja, oddawał się zupełnej bezczynności. Mimo dyplomu uniwersyteckiego, nie był ani odrobinę rozsądniejszy. Wszystkie drogi życia stały dlań otworem, mógł się zwrócić na prawo i lewo, jak mu się żywnie podobało, a ostatecznie zawsze dokądś zajdzie, gdzie mu nie będzie zbywać na szczęściu.

Pozatem prezentował się Godfrey bardzo elegancko i wytwornie. Nigdy nie spinał swego krawatu pierścieniem i nigdy też nie ozdabiał swych palców, mankietów i gorsu koszuli owemi fantastycznemi klejnotami, mającemi takie powodzenie u jego współobywateli.

Nikt się nie zdziwi wiadomością, że Godfrey Morgan i Fina Hollaney mieli się pobrać. Czy mogło być inaczej? Wszystko składało się doskonale. A przedewszystkiem Wiliam W. Kolderup życzył sobie tego małżeństwa. W ten sposób zapewniał swój majątek tym dwojgu, których najbardziej kochał na świecie; pomijając już fakt, że Fina podobała się Godfreyowi, a Godfrey nie był Finie niesympatycznym. Zaraz po urodzeniu, młody człowiek i dziewczynka mieli otwarte konto, które należało tylko wyrównać i przenieść na nowe konto pary małżeńskiej. Czcigodny kupiec miał nadzieję, że wszystko to da się ostatecznie przeprowadzić i załatwić, bez żadnego błędu i przeoczenia.

A jednak zdarzyło się przeoczenie, czy może nawet błąd, jak się zaraz okaże.

Błąd ten, że Godfrey nie czuł się jeszcze dojrzałym do małżeństwa, a przeoczenie na tem znów polegało, że nie zawiadomiono go o tym projekcie.

Po ukończeniu studjów, Godfrey uczuł przedwczesny przesyt światem i życiem, w którem mu nic nie miało zbraknąć, w którem nie mógł żywić żadnego pragnienia, w którem wogóle nie miał nic do roboty. Wtedy opanowała go myśl podróżowania po świecie; powiedział sobie, że wszystkiego już zaznał, prócz podróży. Czyż nie należało do dobrego wychowania młodego człowieka, by przebył kilka tysięcy mil, by coś zobaczył na świecie i czegoś się nauczył?

Tak doszło do tego, że od roku Godfrey rozczytywał się w tak licznych w naszych czasach opisach podróży, a lektura ta wprawiała go w zachwyt. Jego zdaniem warto było podróż kilkuletnią w celu badań opłacić paru napadami malajskich piratów, zatonięciem okrętów na pełnem morzu i wyrzuceniem rozbitków na jakiemś opuszczonem wybrzeżu, gdzie musieliby wieść życie Selkirka lub Robinsona.

Taki był stan duszy Godfreya; kiedy wuj jego, Wiliam W. Kolderup postanowił mu nałożyć jarzmo małżeńskie. Podróżować z Finą, którąby wtedy na-

zywała się panią Morgan, było niepodobieństwem. To należało zrobić samemu, lub wcale nie. Czy zresztą po urzeczywistnieniu swej ulubionej myśli, Godfrey nie byłby w najodpowiedniejszym nastroju dla podpisania kontraktu? Czy kobieta może być szczęśliwą z człowiekiem, który nie zwiedził ani Chin, ani Japonji, nie mówiąc już o Europie? Napewno nie!

Dlatego właśnie Godfrey był w towarzystwie Finy roztargniony, obojętny, gdy do niego mówiła, rozdrożniony, gdy mu grała melodje, które go zwykle wprawiały w zachwyt. Fina, będąc dziewczyną poważną i bystrą, odrazu to zauważyła. Gdyby ktoś powiedział, że nie było z tego powodu trochę zgnębiona i zirytowana, oczerniałby ją bezpodstawnie. Będąc jednak przyzwyczajoną do patrzenia na sprawy w sposób pozytywny, powiedziała sobie: — Skoro absolutnie musi odbyć podróż, to lepiej, by to uczynił przed ślubem, niż później.

Dlatego to wyrzekła do Godfreya słowa proste, a tak bardzo trafne: „Nie!... W tej chwili nie jesteś przy mnie, lecz po drugiej stronie Oceanu".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak stary kowal śmierć i djabła wykiwał.

Bardzo dawno temu w pewnej wiosce, w pięknej górskiej okolicy, żył sobie stary, pracowity kowal. Młodość jego była bardzo burzliwa, zwłaszcza wtedy, gdy jako młody żołnierz odbywał długą i żmudną wojskową służbę. Po powrocie z wojska wyruszył w szeroki świat, wyruszył za chlebem. Zwiedził mnóstwo krajów, doznał rozmaitych przygód i, jak to mówią, nie z jednego pieca chleb jadł. Ale szczęście mu nie sprzyjało, nie mógł nigdzie znaleźć odpowiedniego dla siebie zajęcia i zarobku. Znużony wreszcie tą bezustanną a co gorsza i beznadziejną tułaczką po świecie postanowił wrócić do rodzinnej wioski, aby choć na stare lata jąć się uczciwej i spokojnej pracy i jaki taki grosz na czarną godzinę uciułać.

W chacie maleńkiej, ubogiej ale schludnej na wzgórku stojącej, mieszkał sam. Obok stała kuźnia, gdzie od świtu nieraz do późnej nocy rozlegał się stuk ciężkiego kowalskiego młota. Ej umiał też to umiał tym młotem wywijać, aż radość było patrzeć. Pracy nie brakowało mu nigdy. I tak upływało mu życie dzień za dniem na ciężkiej mozolnej pracy szaro i jednostajnie nie urozmaicone żadnem ciekawem zdarzeniem. I byłby pewnie do śmierci tak cicho i bez rozgłosu dożył, gdyby nie wypadek, jaki zdarzył mu się pewnego skwarnego lipcowego dnia i który pchnął jego dotychczasowe życie na nowe tory i rzucił go w wir nowych przygód i nowej tułaczki.

Po skończonej pracy w wolnych chwilach zwykł był siadywać na ławeczce, która stała przed domem, aby nieco odpocząć po ciężkim całodziennym trudzie, jakoteż pomyśleć o dawnych dobrych czasach, o pięknych latach młodości, które przeszły jak strzała i nigdy już nie powrócą. Był piękny lipcowy dzień. Złociste łany zbóż kołysał lekki podmuch wiatru, chłodząc równocześnie duszne i parne latowe powietrze. Drogą przez wieś szedł staruszek w żebraczych łachmanach z tobołkiem na plecach, podpierając się grubym niedbale ociosanym kosturem. Upalny dzień dokuczał mu widać bardzo, gdyż wciąż ocierał pot ze zmarszczonej, bruzdami pooranej twarzy. Będąc niedaleko chaty kowala, czegoś zasłabł i upadł zemdlony na ziemię. Kowal, który właśnie siedział przed domem, widząc, co się dzieje, podbiegł, dźwignął omdlałego starca i zaniósł do chaty, gdzie go przez kilka tygodni starannie i troskliwie pielęgnował. Polubili się też wkrótce bardzo. Spędzali zwykle czas na długich rozmowach.

Ożywiła się nieco chata starego kowala. Było mu ze starcem weselej, chciał go nawet na stałe u siebie zatrzymać, starzec jednak stanowczo odmówił.

Kiedy nadeszła chwila pożegnania, starzec, chcąc się kowalowi czemś wywdzięczyć za staranną i skuteczną opiekę, w te słowa odezwał się do niego:

— Poczciwy człowiecze, wypowiedz trzy życzenia, jakie chcesz, żeby ci się w późniejszem życiu spełniły, a one ci się do joty spełnią, gdyż ja mam w sobie taką moc.

Kowal po długim namyśle rzekł:

— Mam w sadzie grusze i jabłonie, które każdego roku wydają obfity i soczysty owoc, jednak ja



...Stanęła nagle przed nim z kosą na ramieniu.

nie mam z nich żadnej korzyści, gdyż zawsze złodzieje mi je strzęsą i skradną, dlatego chciałbym, że jak ktokolwiek wyjdzie na drzewo, żeby z niego nie zeszedł aż mu sam każę.

— Spełni ci się to — rzekł krótko starzec — tylko pamiętaj o życzeniu, które najbardziej jest potrzebne każdemu człowiekowi i do czego wszyscy dążymy w tej ziemskiej wędrówce.

Kowal nie zwracał na te słowa zbytniej uwagi. Zbyt był zajęty doczesnemi sprawami, by mógł pomyśleć o celach wyższych, na jakie go starzec bezskutecznie naprowadzał.

— Drugie moje życzenie jest — rzekł — żeby nikt do mojego domku nie wszedł, jak tylko przez dziurkę od klucza, a trzecie, żeby moja manierka, którą mam jeszcze z czasów wojny, zawsze była napełniona orzeźwiającym i przydłużającym mi życie płynem.

Potem rozstali się. Starzec poszedł w świat i słuch o nim zaginął. Starego kowala nie odwiedził więcej. Kowal prowadził dalej to życie ciche, pracowite, spokojne jeszcze bardziej monotonne, niż przedtem. Od tego czasu nic się prócz niego w jego chacie nie zmieniło. On sam postarzał się bardzo, siły coraz bardziej go opuszczały mimo tego, że popijał orzeźwiający napój, którego mu od owego pamiętnego

dnia nigdy nie brakowało. Ale nie dziwił się temu, gdyż już przeszło 90 lat liczył. Zawsze zgarbiony nieco pochylony do ziemi, która widać chciała go już przygarnąć do swojego łona, czuł, że zbliża się śmierć, której w żaden sposób nie da się uniknąć.

Przeczucie nie myliło go. Wtedy, kiedy się jej najmniej spodziewał, kiedy zajadał soczyste grusze stanęła nagle przed nim z kosą na ramieniu, jakby z pod ziemi wyrosła. Kowal na jej widok pobladł jak ściana, ale rychło zapanował nad sobą, gdyż przyszła mu do głowy myśl, że może uda mu się śmierć wyprowadzić w pole. Choć starość gniotła go coraz bardziej, ale umierać jeszcze nie miał ochoty. Śmierć zmęczona daleką podróżą, kosę oparła o ścianę i nie oglądając się wcale na kowala usiadła obok niego na ławce i bez ceregieli zabrała się chciwie do jedzenia. Widocznie głodna była, bo soczyste grusze znikały jedna za drugą. To ordynarne zachowanie się śmierci wobec gospodarza i jego własności oburzyło kowala do głębi. Nie hamując się w gniewie, krzyknął:

— To ja, stary, będę dla ciebie gruszki rwał, tyś młoda to hajda na drzewo, narwiesz sobie, ile zechcesz i jeszcze mnie jaką zrzucisz, nie żebym ja jeszcze na obieżyświatów robił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poradnik gospodarczy.

Wyrób napojów miodowych.

Iluż to ze znajomych naszych upija się obrzydłem wódczyskiem, przez co traci nietylko pieniądze, ale i zdrowie. A przecież wódkę można zastąpić nietylko smacznym, ale i pożytecznym napojem, jakim jest miód. Ale przedewszystkiem aby to uskutecznić, trzeba ten miód mieć i umieć go przyrządzić. — Aby miód mieć, trzeba hodować pszczoły, a jakie one dają ogromne korzyści, o tem już wielokrotnie na tem miejscu pisaliśmy. Ponieważ pszczoły nawet najbiedniejszy człowiek posiadać może, więc też może mieć miód, z którego sam sobie będzie mógł sporządzić tak smaczny i zdrowy napój, jakim jest miód pitny. A sztuka to niewielka.

Miody pitne mogą być rozmaite, zależnie od stosunku wody do miodu. Jeżeli na kilogram miodu damy litr wody, to będzie miód najlepszy, czyli dwójniak; na kilogram miodu dwa litry wody, będzie trójniak; na kilogram miodu trzy litry wody, będzie czwórniak, a więc miód najsłabszy. Słabszych zwykle się nie sporządza, gdyż miód taki byłby za słaby.

Taka mieszanina miodu z wodą nazywa się brzeczką. Taką brzeczkę wlewamy do kotła na kuchni i rozpalamy pod nim niezbyt silny ogień. Gdy się brzeczka dobrze zagrzeje, wstawiamy w środek płynu warzechę pionowo i zaznaczamy na niej nożem karb, pokąd płyn stoi w kotle przed ugotowaniem, bo po ugotowaniu, mimo że będzie 3—4 godzin bezustannie wrzał, musi mieć te samą wysokość, aby nie stracił nic z przepisanej wody.

Utrzymujemy zatem ciągły wolny ogień pod kotłem i baczymy, by płyn ciągle wrzał. Gdy od czasu do czasu silniej zawrze, zapieni i chce wykipieć, zalewamy go trochą zimnej wody. Gdy zmierzymy warzechą i widzimy, że płynu brakuje do oznaczonej kreski, dolewamy z drugiego garnka ciepłej wody po kreskę i tak aż do skończenia gotowania. Zbierające się szumowiny należy zbierać łyżką do innego naczynia. Po 3—4 godzinach szumowiny przestają się zbierać i wtedy miód już jest usycony.

Potem robi się przyprawę do miodu. Do czystego, małego, płóciennego woreczka daje się trochę chmielu, goździków, wanilji (tylko nie za wiele), cynamonu i t. p., zawiązuje się dobrze, umocowawszy pod woreczkiem wyparzony kamyk, który pociągnie korzenie na dno kotła, u góry zaś wiąże się woreczek długą tasiemką u ucha kotła. Następnie roznieca się ogień na nowo i jeszcze pół godziny warząc, szumuje, mierzy wysokość płynu i ciągle miesza.

Wreszcie gasi się ogień, wyciąga woreczek, nakrywa kocioł rzadkiem płótnem i zostawia płyn do wystygnienia. Płyn ten po wystygnieniu zlewa się do czystej, drewnianej beczułki i ustawia w takiem miejscu, gdzieby było do 30 stopni Celsjusza ciepła, gdyż musi on teraz przez 3 do 4 tygodni fermentować. Aby zaś ta fermentacja mogła nastąpić, trzeba do beczki wlać rozczynu drożdżowego z łupinami rodzynek, które przed trzema dniami przygotowaliśmy. Uważać trzeba bardzo, aby w miejscu, gdzie stoi beczułka, nie było ani mniej, ani więcej ciepła, jak 30 stopni Celsjusza.

Co kilka dni należy wstrząść beczką, aby się płyn poruszał, pomieszał, a burzące się piany usuwamy; gdy te trochę odejdą, otwór u beczek zakrywamy kawałkiem czystej szmaty, aby do wnętrza nie naleciało jakichś nieczystości.

Po 3—4 tygodniach na wierzchu przestaje ukazywać się piana, a natomiast pokazują się łupki rodzynek, zaś na spodzie tworzy się osad z drożdży. — Owe drożdże tam pozostać nie mogą; trzeba je stamtąd oddalić, bo dalszy ich tam pobyt zaszkodziłby miodowi. Wyrzuca się więc łupki, a płyn gumowym wężem przelewa się do innej beczułki, poczem wyrzuca się osad drożdżowy i znów do tej samej beczułki przelewa się miód. Teraz odbywa się już fermentacja spokojna.

Aby zaś niepotrzebnie grzybki innych drożdży i jakiekolwiek mikroby nie dostały się przez otwór beczki do miodu, przysposabiamy sobie szczelnie wchodzący w otwór czop z korka, w którym przedtem należy wywiercieć świderkiem dziurkę na wylot. W tę dziurkę wstawiamy szczelnie rurkę szklaną, której koniec jeden krótszy ma tak tylko wystawać, aby nie maczał się w płynie, dlatego w beczce miód nie powinien być nalany na pełno. Drugi koniec ma być nad korkiem zagięty pod kątem ostrym i wciśnięty znowu szczelnie w rurkę gumową na 60 do 80 cm. długą. Przyrządy te nabyć można w droguerji lub w aptece. Gdy czop korkowy z rurką szklaną w otwór wciśniemy i dobrze umocujemy, drugi koniec rurki wpuścimy do naczynia z wodą tak, by się w niej kilka centymetrów zanurzyła. Co kilka dni zmienia się wodę w naczyniu do czasu, aż miód zupełnie się wyczyści, co trwa cały rok.

Aby się przekonać, czy miód jest dojrzały, trzeba go ściągnąć wężem gumowym jedną flaszkę i postawić w ciepłym pokoju. Gdy do drugiego dnia się nie zamąci, ale pozostanie czysty, znaczy to, że już dojrzał zupełnie. Wtedy można wszystek pościągać do butelek, dobrze zakorkować i ułożyć na półkach w piwnicy. A potem smacznie popijać z przyjaciółmi!

Jaka to miła rzecz mieć własny napój w domu i nie wzbogacać żydów, kupując u nich wódczaną truciznę za drogie pieniądze.

A teraz policzmy: jeden pień w dobrym roku może nam dać 30 kilogramów miodu. Gdy dodamy do tego 60 litrów wody i dołożymy nieco pracy, będziemy mieli 90 litrów bardzo dobrego miodu pitnego, za którybyśmy w sklepie zapłacili po jakie 4 złote. Czyli, że z jednego pnia możemy mieć w roku około 360 złotych dochodu. Możemy mieć, trzeba tylko chcieć!!

KRONIKA.

Od Administracji. Wszystkich Prenumeratorów, którzy prenumeraty na rok bieżący jeszcze nie nadesłali, prosimy aby to uczynili jak najrychlej, celem uniknięcia przerwy w wysyłce numeru następnego.

Konkurs „Roli“. Na konkurs „Roli“, jak to już zaznaczyliśmy, wpłynęło 96 utworów, w tem 11 bardzo dobrych i te otrzymają nagrody. Nadto przeszło trzydzieści przeznaczyliśmy do druku. Reszta to prace słabe lub nieodpowiednie do „Roli“. Szczegółowe omówienie prac konkursowych zamieścimy w następnym numerze.

Jubileusz ks. biskupa Nowaka. Ks. biskup przemyski, Anatol Nowak, obchodził 30 lecie swej konsekracji na biskupa. We wszystkich kościołach dyecezji przemyskiej zostały odprawione w dniu jubileuszu uroczyste nabożeństwa z okolicznościowem kazaniem oraz modły na intencję arcypasterza. W uroczystej mszy św. w katedrze przemyskiej, na której był obecny Dostojny Jubilat, wzięli udział przedstawiciele wszystkich władz i urzędów oraz katolickie stowarzyszenia polskie ze sztandarami. Po mszy św. w pałacu biskupim zebrało się całe duchowieństwo przemyskie oraz bardzo liczni przedstawiciele władz, stowarzyszeń i katolickiego społeczeństwa dla złożenia życzeń swemu arcypasterzowi. J. E. ks. biskup po wysłuchaniu życzeń dziękował w nader serdecznych słowach i zakończył apelem do jedności i zgody na fundamencie wiary celem współpracy dla pomyślności Kościoła i Ojczyzny, poczem udzielił arcypasterskiego błogosławieństwa.

Sprawa więzionych posłów w Brześciu. Około sprawy posłów, aresztowanych i więzionych w Brześciu, obracają się niemal wszystkie artykuły gazet opozycyjnych. W sprawie tej zabrało również głos 45 profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, zwracając się do posła prof. Krzyżanowskiego, aby wyjaśnienia tej sprawy pilnował. Gazety opozycyjne wypisują na ten temat niestworzone rzeczy, podczas gdy sami więzieni posłowie milczą. Tymczasem Sejm zbadanie tej sprawy powierzył komisji prawniczej, która ma zdać sprawę ze swoich badań Sejmowi. Wówczas dopiero wyjaśni się cała rzecz, a jakie będzie to wyjaśnienie, podamy również w „Roli“.

Powódź w Stanisławowskiem. Koło Hrebenowa, woj. stanisławowskiego, skutkiem silnych opadów deszczowych wezbrała i wylała rzeka Opór. Most drewniany na drodze Skole-Tuchla został silnie uszkodzony, wskutek czego przerwano komunikację kołową. Okoliczne pola zostały zalane wodą.

Ucieczka nieboszczyka. Na szlaku kolejowym Piotrków-Radomsko w chwili, gdy nadchodził pociąg osobowy, usiłował przejść przez tor jakiś ubogo odziany mężczyzna. Mężczyzna nie zdążył przejść na drugą stronę i potrącony przez lokomotywę, dostał się pod koła pociągu. Gdy pociąg przejechał, dróżnik, ujrzawszy między szynami skrwawione ciało, zaalarmował zawiadowcę stacji, który przysłał kolejarzy z noszami. Nieprzytomnego odniesiono do szpitala. Po drodze kolejarze stwierdzili, że nieznajomy zmarł. Gdy przyszli do szpitala, kazali im nieboszczyka złożyć w trupiarni. Po załatwieniu formalności w szpitalu, jeden z urzędników udał się wraz kolejarzami do trupiarni, by stwierdzić identyczność zmarłego. Jakież było ich zdziwienie, gdy zastali puste nosze. Wybiegli na ulicę i zobaczyli nieboszczyka jak galopował w stronę śródmieścia. Ujęto go i stwierdzono, iż jest to 30 letni żebrak Franciszek Kowal. Zeznał on, że był trochę pijany, a przez lokomotywę potrącony został tak szczęśliwie, że dostawszy się między szyny, nie odniósł żadnych obrażeń. Zemdlał tylko ze strachu. Krew pochodzi z zadrapań, jakie odniósł wskutek uderzenia przez parowóz.

Tytoń zamiast trocin. Mimo skrupulatnego strzeżenia granicy i obserwacji na stacjach granicznych, władze skarbowe stwierdziły, iż Łódź formalnie zalana jest przemycanym tytoniem niemieckim. Podczas obserwacji szeregu osób i sklepów stwierdzono, iż pewien sklep otrzymuje znaczne transporty lalek, a przedewszystkiem korpusów lalek wypchanych trocinami. Władze skarbowe w porozumieniu z policją, przeprowadziły w sklepie tym rewizję, która dała sensacyjne wyniki. Okazało się, że we wnętrzu korpusów lalek zamiast trocin znajdował się tytoń. Ogółem skonfiskowano 400 kg. przemycanego tytoniu niemieckiego. Właściciela sklepu aresztowano.

Bandyta o stu twarzach. Policja łódzka rozesłała listy gończe za złodziejem Kancem, który w zeszłym roku dokonał szeregu przestępstw. W ubiegłą sobotę wywiadowcy urzędu śledczego w Łodzi na podstawie rysopisu chcieli aresztować Kanca na dworcu. Kanc jednak znikł i jak ustalono, wsiadł przed dworcem do taksówki i podążył w stronę Bałut. Policja, znając numer auta, podążyła za nim. Przy zachowaniu najdalej idących ostrożności, odziana w pancerze ochronne policja otoczyła dom. Kilku posterunkowych z bronią w ręku udało się pod drzwi zajmowanego przez Kanca lokalu i zapukało kilkakrotnie, żądając otwarcia. Ponieważ nikt drzwi nie otwierał, wyważono je. W tej chwili zamajaczyła sylwetka jakiegoś mężczyzny, który skoczył z okna pierwszego piętra na bruk. W tym momencie ze skrytki w ścianie wyszła na pół odziana kobieta, przyjaciółka Kanca, w której ubraniu Kanc usiłował zbiec. Kanc, wyskoczywszy przez okno, zwichnął sobie nogę. Mimo szalonego bólu stoczył walkę z policją, Kanca i jego przyjaciółkę odstawiono do urzędu śledczego. W mieszkaniu aresztowanego znaleziono kilka waliz z kilkudziesięciu perukami oraz przyborami do charakteryzacji. Ustalono, że Kanc znany był w łódzkim świecie przestępczym jako „oprych o stu twarzach“. Był on znany z tego, że niemal co drugi dzień zmieniał swój wygląd.

Dziecko spalone żywcem. W Warszawie, w domu Sylwestra Szybowskiego wydarzyła się straszna tragedja. Szybowski, z zawodu malarz pokojowy, miał dwoje dzieci, 8 miesięcznego Tadzia i dwuletniego Mundzia. W godzinach wieczornych, gdy Szybowski zatrudniony był jeszcze na mieście, żona jego wyszła na kilka minut do sklepiku, zostawiając dzieci same w mieszkaniu. Starszy chłopczyk bawił się z młodszym braciszkiem, leżącym w kołysce. W pewnym momencie, opierając się o ścianę, zrzucił przez nieostrożność wiszącą na gwoździu zapaloną naftową lampkę kuchenną. Lampka wpadła do kołyski, wskutek czego zaczęła się tlić pościel. Dziecko wydało jęk a potem zamilkło. Starszy chłopiec

odskoczył i skrył się w kącie pokoju za łóżkiem. Gdy po chwili matka weszła do mieszkania, z kołyski buchały płomienie. Nieszczęsna matka wszczęła okropny alarm. Zbiegli się sąsiedzi i ugaszono ogień. Dziecko wskutek ciężkich poparzeń zmarło. Dwuletni Mundzio wyszedł bez szwanku.

Uwięzieni w chlewie. Niezwykły wypadek zdarzył się w miejscowości Gralewo. — Do zamieszkałego tam gospoparza Kalika przybył egzekutor sądowy z miejscowym posterunkowym celem zajęcia świń, zasekwestrowanych przez urząd podatkowy. W chwili, gdy przedstawiciele władzy udali się do chlewa, zgromadzone na miejscu wieśniaczki zatrzasnęły drzwi i zamknęły je na kłódkę. Uwięzieni reprezentanci władzy dopiero po kilku godzinach zdołali uwolnić się z pułapki, wybijając jedną ścianę chlewu. Przeciwko zbyt pochopnym kobietom wdrożono za ten czyn dochodzenia karne. Oczywiście podatki muszą być zapłacone, a babulinki posiedzą nieco dłużej w areszcie, niż egzekutor w chlewie.

Szaleniec zamordował swego wybawcę. Widownią rzadko notowanej tradegdji była wieś Adamowo w pow. wolsztyńskim. 18 letni Nikodem Dudziak u rzał w pewnej chwili, iż przechodzący przez zamarznięte jezioro miejscowy cukiernik Władysław Waligórski, wskutek załamania się lodu, wpadł do wody i zaczął tonąć. Dudziak bez chwili namysłu pospieszył tonącemu z pomocą, wyrębując siekierą otwór w lodzie Udało mu się tonącego wyratować. Uratowany, pod wpływem nagłego ataku szału, wtrącił swego wybawcę do wody, a gdy Dudziak, uczepiwszy się tafli lodu, usiłował wydostać się z toni, szaleniec chwycił za siekierę i zadał nią kilka głębokich ran tonącemu. Dudziak, straciwszy przytomność, znikł pod wodą i utonął. Świadkowie strasznej tej sceny obezwładnili szaleńca i oddali go do dyspozycji policji. Waligórskiego odstawiono do zakładu umysłowo chorych w Owieńsku.

Katastrofalny pożar. W osadzie Złoczew pow. sieradzkiego wybuchł katastrofalny pożar, który prócz ogromnych strat materjalnych pociągnął za sobą także ofiary w ludziach. O godzinie 1 po południu powstał pożar prawdopodobnie od rozpalonego pieca piekarskiego w jednopiętrowym budynku, mieszczącym piekarnię, należącą do Szmula Wołkowicza. Nim mieszkańcy spostrzegli ogień, pożar objął cały budynek i wskutek silnego wiatru przerzucił się na sąsiednie budynki. Ogień objął przedewszystkiem żydowski dom modlitwy, z którego uratowano tylko rodały. Waląca się ściana budynku przygniotła troje ludzi, mianowicie Zelmana Jachimowicza, Mendla Srokę i Jankla Rabinowicza. Mendel Sroka zmarł, stan Jachimowicza i Rabinowicza beznadziejny. Skutkiem pożaru kilkadziesiąt rodzin znalazło się bez dachu nad głową. Utworzono komitet ratunkowy dla pogorzelców.

Zabójstwo na zabawie. Wśród wesołej zabawy, jaka odbywała się w sali Ogniska kolejarzy w Stołpcach, padł nagle strzał rewolwerowy. Jedna z uczestniczek, 18-letnia Anna Barcikówna, trafiona celną kulą, padła bez życia na ziemię. Sprawcą zabójstwa był kapral żandarmerji, Z. Piątkowski, który odstawiony przed sędziego śledczego odmówił wszelkich zeznań. Mówią jednak, że strzelił on do Barcikównej, która była jego narzeczoną, za odmowę tańczenia z nim.

Żonobójca. Niejaki Grzegorz Łukawski, zamieszkały w Równem, podczas sprzeczki zabił swą 25 letnią żonę, zadając jej 8 pchnięć bagnetem w pierś. Po morderstwie żony usiłował on odebrać sobie życie, podrzynając gardło brzytwą i przecinając sobie arterję u obu rąk. Łukawskiego odwieziono do szpitala.

Śnieżyca i wichura. Województwo nowogrodzkie nawiedzone zostało w ubiegłym tygodniu silną śnieżycą. Masy śniegu zasypały tory kolejowe i drogi, co bardzo utrudnia komunikację. W Wileńszczyźnie szalała gwałtowna wichura, która wyrządziła wielkie szkody. Wiele słupów telegraficznych zostało obalonych, a przewody zerwane, skutkiem czego komunikacja była przez pewien czas przerwana.

Olbrzymi połów ryb. Z powiatu brasławskiego donoszą o wielkim połowie wszelakiego gatunku ryb w tamtejszych jeziorach. W ostatnich 10 dniach sprzedali rybacy przeszło 3.000 kg. ryb. Wobec wielkiego połowu ryb w powiatach wileńsko-trockim, dziśnieńskim, postawskim i święciańskim wywieziono stamtąd do Warszawy i innych miast polskich 2.000 klg. różnego rodzaju ryb.

Wieczna zapałka. Wiedeński chemik Dr Ringer zgłosił patent na wieczną zapałkę. Zapałkę tę, wielkości normalnej zapałki, można zapalać ponad 600 razy. Składa się ona z chloratu (jest to ten sam składnik, który tworzy główkę zwyczajnej zapałki) i pewnej specjalnej mieszaniny, ułatwiającej wygasanie ognia i niedopuszczającej do samozapalania się zapałki przy mniejszem ogrzaniu jej. Wynalazek ten zaoszczędziłby dużo pieniędzy palaczom za zapałki; obawiać się jednak należy, że te nowe zapałki rządy tak opodatkują, iż wynalazek ów okaże się bezpożyteczny.

Tragiczny pojedynek teatralny. Granica między rzeczywistością a fikcją u wrażliwych aktorów zaciera się czasem niemal zupełnie. Aktor, przejęty swą rolą, wżywa się wówczas w odtwarzaną postać, czuje się niemal inną, nową osobą. Na tem tle właśnie dokonała się w pewnym austrjackim teatrze prowincjonalnym tragiczna scena, której ofiarą padł młody 23-letni aktor, Kurt Kaunitz. W teatrze w Pforzheim odbywała się próba przeróbki scenicznej „Trzech muszkieterów“ Dumasa. Dwaj aktorzy, Kaunitz i kolega jego Henryk Bendel, odbywali właśnie pojedynek na szpady. Tak się jednak tem przejęli, że zaczęły padać ciosy coraz gorętsze i „prawdziwe“, ku wielkiemu zadowoleniu reżysera, patrzącego na tak realistycznie odegraną scenę. Nagle Bendel tak nieszczęśliwie wymierzył swą szpadą, że ugodził nią w oko Kaunitza i ostrzem dotarł aż do mózgu. Nieszczęśliwy „muszkieter“ padł zalany krwią na deski sceniczne i niebawem zakończył życie.

Tragiczna śmierć narciarzy. W miejscowości Elm w kantonie Glarus w Szwajcarji wydarzyła się wielka katastrofa, przy której trzech narciarzy straciło życie. W chwili, kiedy wycieczka, składająca się z 15-tu narciarzy, przechodziła przez łożysko strumienia pokrytego w zupełności śniegiem i kiedy grupa poczęła się wspinać już na przeciwległy brzeg, nagle warstwy brzegu rozsunęły się i 13 osób runęło w dosyć głęboką przepaść. 10 osobom udało się wydostać z pod masy śniegu, trzy osoby jednak pozostały zasypane. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach wydobyto ciała tych trzech narciarzy.

Zgon marszałka Joffre. W ubiegłym tygodniu zmarł w Paryżu marszałek Francji Joffre. Ostatnie chwile zwycięzcy z nad Marny były bardzo ciężkie, gdyż agonja trwała niemal cztery dni. Pogrzeb, nader wspaniały, odbył się na koszt państwa.

Śpiewający dzwon. Jedna z francuskich odlewarni dzwonów wykonała na zamówienie znanego muzyka E. Boutroux zaprojektowany przez niego dzwon dziwnej konstrukcji. Odlew kształtem nie różni się zupełnie od zwyczajnych, sporządzony jest jednak z 12 różnych stopów, a ramy, w które jest wstawiony, posiadają kilka-

set mosiężnych pałeczek, podobnie jak u fortepjanu zakończonych korkiem, które z chwilą rozkołysania się dzwoni i uderzenia serca poczynają tańczyć po spiżowym kolosie, przerywając, głusząc, zgłuszając ton tak, że dzwon wydaje piękny melodyjny śpiew. Podobno eksperyment ten spotkał się z gorącem uznaniem duchowieństwa i prawdopodobnie liczne kościoły ozdobią niezadługo wieżyce śpiewającemi dzwonami.

Pojedynek pań w kinie. W loży eleganckiego kina w Londynie zajęła miejsce dama o bardzo wytwornym wyglądzie. Obok niej siedział pan, wyglądający również bardzo dystyngowanie. Była to księżna rosyjska, która w towarzystwie wielbiciela chciała oglądać nowy, interesujący film. W najbliższej loży znajdowała się para kochanków, którzy korzystali z ciemności, aby się ściskać i całować... To nie podobało się księżnej. Niezadowoleniu swemu dała tak głośny wyraz, ze owa para miłosna musiała to niewątpliwie usłyszeć. Mimo tego kochankowie niewiele sobie z tego robiąc, nie zaprzestali zachowywać się nieodpowiednio... Wówczas wyczerpała się cierpliwość arystokratki. Rzuciła się na ową pannę, zdarła jej z głowy kapelusz, chwyciła jej starannie ufryzowaną główkę i poczęła nią potrząsać w sposób, świadczący wprawdzie wcale o pokaźnej sile, nie licujący jednak zbytnio z manierami arystokratki. Skoro napadnięta ochłonęła z pierwszego zdziwienia, nie pozostała dłużną odpowiedzi. — Między obu niewiastami wywiązał się istny pojedynek. Tymczasem przerwano przedstawienie i zapalono światło. Publiczność doskonale się ubawiła, patrząc na nieoczekiwane widowisko. Z trudem zdołano przeciwniczki rozdzielić. Po spisaniu protokołu przez policję, opuściła księżna majestatycznie to „niemoralne“ miejsce.

Najbogatsza kobieta. Jedna z gazet angielskich sporządziła wykaz najbogatszych na świecie kobiet i oto okazuje się, że nie żadna Amerykanka, jakby się zdawało, stoi na ich czele lecz Japonka, pani Jone Sussuki, która nawet nie ubiera się po europejsku. Najbogatsza ta kobieta na świecie nie odziedziczyła przytem olbrzymiego swego majątku po ojcu, jak się to dzieje wśród miljonerek amerykańskich, jeno obdarzona niezwykłą energją i zdolnościami kupieckiemi zdobyła bogactwa swe osobiście. Pani Sussuki jest dzisiaj właścicielką całej floty okrętów handlowych, stalowni, plantacyj trzciny cukrowej i bawełny, tudzież instytucyj bankowych. Majątek jej obliczają na przeszło cztery miljardy franków.

Walka łodzi podwodnej z dzikami. Angielską łódź podwodną „Wiktorję“ spotkała przygoda, która jedynie dzięki przytomności sternika nie zakończyła się katastrofą. Podczas ćwiczeń eskadry łodzi podwodnych u północnych brzegów Irlandji „Wiktorja“ oddaliła się zbyt daleko od terenu manewrowego i zaatakowaną została przez gromadę dzików morskich, z którą stoczyła godzinną blisko walkę, zabijając minami około 16 wygłodniałych potworów. Ciężko uszkodzoną łódź uratował sternik, który umiejętnem pilotowaniem wyprowadził ją z pola walki.

Szczęście uczciwego człowieka. Pewien biedny nauczyciel, poprawiając wypracowania swoich uczniów, przez nieuwagę wylał na kamizelkę całą zawartość kałamarza. Daremnie usiłowała żona plamę usunąć. W końcu, jakkolwiek z ciężkiem sercem, udał się nauczyciel do handlarza, gdzie nabył inną kamizelkę, przyczem handlarz nie omieszkał się pochwalić, że kupił ją wraz z inną garderobą od rodziny bogatego kupca, który umarł nagle przed kilkunastu dniami. Gdy na drugi dzień nauczyciel chciał włożyć nowonabytą część garderoby, uczuł, że na plecach wypchana jest czemś twardem, Zdziwiony rozpruł szew. Na ziemię wypadła koperta zawierająca 12.000 koron szwedzkich w banknotach. Biedny nauczyciel nie wahał się ani chwili, pobiegł do rodziny zmarłego kupca i zwrócił znalezione pieniądze. Uczciwy znalazca został sowicie wynagrodzony, otrzymał bowiem 4 000 koron, mógł więc już teraz kupić nietylko kamizelkę, ale cały garnitur. Działo się to w Sztokholmie.

Rozruchy farmerów w Ameryce. Farmerzy amerykańscy, zrujnowani przez posuchę ubiegłego lata, napadli w liczbie 500 na sklepy miasta England w stanie Arkansas, żądając żywności dla swych zgłodniałych rodzin. Czerwony Krzyż, powiadomiony o zaszłych wypadkach, dostarcza środków żywności dla większości zgłodniałych farmerów i ich rodzin. Władze miejscowe w obawie, iż zajścia mogą się powtórzyć w jeszcze ostrzejszej formie, poradziły kupcom, by usunęli ze swych sklepów towary, albo umieścili w nich karabiny maszynowe (!!)

Sztuki fakira. Fakirami w Indjach, w Azji, nazywają się mnisi wędrowni muzułmańscy i pogańscy. Największą sławą cieszą się tak zwani fakirowie pokutnicy. Posiadają różne tajemnice przyrody, zadziwiające i wprost nie do uwierzenia dla zwykłych ludzi. Zdolność znieczulania ciała umożliwia fakirom indyjskim popisy sztuk iście niepojętych.



W Colombo, w stolicy wyspy Cejlonu, fakir Abdur Ramag popisywał się wobec zebranego tłumu snem na bagnetach. Kazał się położyć na sześciu wbitych w ziemię karabinach z bagnetami i wyprężywszy ciało spoczywał przez kilkanaście minut w tej pozycji. Obrazek nasz przedstawia tę osobliwą sztukę.

Rozruchy w Indjach. Donoszą z Kalkuty, że w prowincji Berar wybuchły ostatnio poważne rozruchy wiejskiej ludności rolniczej, których ofiarą padło przedewszystkiem wielu braminów, zajmujących się w tych stronach pożyczaniem pieniędzy i uprawą roli na większą skalę. Włościanie, którzy z powodu kryzysu rolnego popadli w znaczne długi, zrabowali szereg gospodarstw rolnych, podpalając zboże. Wykroczenia miały miejsce jednocześnie w wielu punktach lecz przybrały najostrzejszą formę w miejscowości Büle, gdzie tłum złożony z 500 osób spalił zapasy zboża, oraz księgi kasowe bankierów. Policja interwenjowała, aresztując zgórą 60 osób. Straty wynoszą zgórą 50 tysięcy funtów szterlingów, co w przeliczeniu wynosi przeszło 2 miljony zł.

W sprawie wyjazdu robotników na roboty zagranicę należy zwracać się listownie do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy w Krakowie, ul. Lubelska (znaczka na odpowiedź nie załączać).

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę“ kupują lub w Administracji „Roli“ nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

RZECZY CIEKAWE.

Polowanie na wieloryby.

Jednem z największych zwierząt morskich jest wieloryb. Jakkolwiek nazwa i wygląd zewnętrzny zdaje się wskazywać na niego, jako na rybę, to przecież wieloryb rybą nie jest, ale zwierzęciem ssącem, jak pies, kot i inne.

Ułowienie tego kolosa nie jest łatwe. Z powodu jego wielkości nie można go uchwycić ani na żadną wędkę, ani do sieci, ale trzeba go najpierw uśmiercić w wodzie, a potem trupa wyciągnąć na okręt i zabra

Najpospolitszem polowaniem na wieloryby jest polowanie zapomocą harpuna. Myśliwi, zoczywszy wieloryba, podpływają na łódkach w pobliże niego



i jeden rzuca zręcznie harpun tak, aby ten wbił się w głowę olbrzyma. Przeważnie udaje się to dobrze, ale zdarza się też, że harpun zrani tylko nieszczęśliwca i pobudzi go do szalonej obrony. Wówczas loryb stara się podpłynąć w pobliże łodzi i potężnym ciosem ogona ją zdruzgotać lub pochwycić w paszczę i zmiażdżyć ją. Na taki wypadek są jednak myśliwi przygotowani; mają oni strzelby i bomby. Mierzą więc do wieloryba, starając się trafić w sam środek olbrzymiego łba, aby kula mogła dostać się do mózgu i uśmiercić napastnika. Inny z myśliwych ma przygotowaną bombę, a jeżeli wieloryb podpływa z otwartą paszczą, rzuca ją tak, aby mogła wewnątrz niej eksplodować.

Jak każda walka, tak i ta kończy się rozmaicie; przeważnie zwyciężają myśliwi, ale zdarza się czasem, że ponoszą klęskę, a wieloryb odpływa w dal nieznaną.

Na naszym obrazku widzimy taką walkę dwóch łodzi myśliwskich z potężnym wielorybem. Jedną z nich już wieloryb roztrzaskał swym olbrzymim ogonem, ale z drugiej sypią się strzały, które widocznie nie były bezskuteczne, gdyż ranne zwierzę zanurzyło już łeb w wodzie i walczy tylko ostatkami sił.

Łodzie, na których myśliwi wybierają się na polowanie, są ze wszystkich stron opatrzone długiemi, ostremi kolcami, które nie pozwalają drapieżcom morskim zbliżyć się zanadto do łodzi.

Próżność kobieca.

Próżność kobieca jest stara jak świat. Wykazały to m. i. ostatnio dokonane wykopaliska w Ur w Chaldeji, pochodzące z bardzo odległej epoki, sięgającej czwartego tysiąclecia przed Chrystusem. Znaleziono tam między wielu cennemi zabytkami przybory do „upiększania“ urody kobiecej, które niewiele się różnią od dzisiejszych. Kobiety, które w roku 3.500 przed Chr. należały do dworu chaldejskiej królowej Szul Al, ówczesnej wyrazicielki ostatniego szyku mody, miały przeważnie czarne włosy, lekko zgięty nos i wąskie usta. Usta karminowały obficie, brwi pociągały szeroko czarnym tuszem, a wkoło oczu malowały zielone obwódki, podobnie jak dzisiejsze artystki kinowe i teatralne, które niebieskim i zielonym tuszem podkreślają „głębię“ swych oczu. A więc malowano się już wtedy — i malowano jaskrawo i wesoło. Królowa Szul Al i jej damy dworu nosiły włosy związane złotemi wstęgami, a na nich rodzaj djademów ze złotych listków i kwiatów, ozdobionych nabijane niebieskiemi, czerwonemi i złotemi kulanabijane niebieskiemi, cezrwonemi i złotemi kulami. Szkatułki do przyborów toaletowych były z masy perłowej, szpilki miały końce ze srebra a główki z lapislazuli.

Wyspa na słupach.

Amerykański uczony Green wydał ostatnio książkę, opartą na wieloletnich studjach w dziedzinie przyrody morskiej. W książce swej nazywa Green wyspę Haiti „wyspą cudów“. Tu — zdaniem tego uczonego — znajdują się największe rafy koralowe na świecie. Dno morskie w obrębie wyspy przedstawia widok, jakiego nie może sobie wyobrazić myśl ludzka. Cała wyspa podtrzymywana jest olbrzymimi krwisto-czerwonemi filarami, dochodzącemi nierzadko do wysokości 50 metrów, a 15 metrów szerokości. Miejscami dno jest tak gładkie, jak szlifowany marmur. Cały las pięknych roślin najróżnorodniejszych kształtów, barw i odcieni, wyrastający z koralowego kamienia, wspaniałe groty, pełne dziwacznych załamań i szczelin, wszystko to wygląda jak kraina, wyczarowana z najfantastyczniejszej bajki.

Majątki różnych narodów.

Jak wynika z zestawienia opracowanych ostatnio danych, dotyczących stanu majątkowego poszczególnych państw, Polska znajduje się pod względem bogactwa narodowego na dziewiątem miejscu.

Najbogatszem państwem w świecie są Stany Zjednoczone, których majątek narodowy przedstawia wartość 320,804.000.000 dolarów. Na drugiem miejscu znajduje się Anglja, posiada majątek na sumę 120,000.000.000 dolarów, następne zaś miejsca przypadają Francji, Rosji (przedwojennej), Niemcom, Włochom, Japonji i Kanadzie. Na dziewiątem miejscu znajduje się Polska z majątkiem narodowym wartości 15,000.000.000 dolarów. Mniejszy od nas majątek narodowy posiada Argentyna, Australja, Belgja, Czechosłowacja, Danja, Łotwa, Rumunja i Węgry.

Majątek narodowy, przypadający na jednego mieszkańca wynosi w Stanach Zjednoczonych 3.035 dolarów, w Polsce zaś 517 dol.; zatem przeciętny Amerykanin jest sześć razy zamożniejszy od przeciętnego obywatela polskiego. Anglik zamożniejszy jest przeciętnie od Polaka 5 razy, Francuz 4 i pół raza, Niemiec 2 i pół raza, Duńczyk zaś 2 razy. Bogatsi są od nas również Włosi, Czesi i Łotysze, biedniejsi zaś Rumuni, Japończycy i Rosjanie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Karol Jaskólski** w N.: Owszem, w nabywaniu pszczół z pniami chętnie pośredniczymy. Znamy kilku pasieczników w różnych stronach Polski, którzy gotowi są sprzedać pszczoły. Dziesięciu pni u jednego może trudniej będzie dostać, ale można zakupić od dwóch. Gdy się Pan zdecyduje ostatecznie co do ilości, prosimy napisać, a ja chętnie bezinteresownie do sprzedającego pojadę zobaczyć, oczywiście dopiero w marcu, czy pszczoły są dobre. — **Ignacy** M.: Wierszyki miłe, ale do druku za słabe. — **Kachna i Donat Lesiowscy** w W.: Za tak miłe dla nas życzenia od tak drogich osób serdecznie dziękujemy. Łączymy serdeczne pozdrowienia dla obydwojga Państwa. — **Piotr Miękina** z R.: Wszystkim podanym wysłaliśmy Nr 1 z czekami. Trzy czeki Panu dołączamy do Nr 2. Za życzenia dzięki i polecamy się nadal. — **Duda Paweł** w Ż.: „Rolę" będzie Pan otrzymywał do 1 lutego. Czeki do Nr. 52 dołączyliśmy wszystkim prenumeratorom, więc ten czek prosimy zachować albo dać go chętnemu, celem zaprenumerowania „Roli". **Helena Latawcówna** w S.: Obydwa wierszyki przeznaczamy do druku. — **Franciszek Surówka** w W.: Wiersz zupełnie dobry, przeznaczamy go więc do druku, kiedy jednak będzie umieszczony, trudno nam oznaczyć. — **Leopold Wołek** w B.: Nadesłane zagadki zamieścimy. — **Serce pustyni:** Szaradę, nawet zupełnie dobrą, potrafi każdy człowiek napisać, gdy tylko nieco pomyśli. Nie ma się więc ów pan tak bardzo z czego pysznić. Jaka to rzecz łatwa, to niech będzie to przykładem, że gdym był młody, w ciągu jednej godziny napisałem 30 szarad, które wszystkie ukazały się później w druku. Zresztą i Pan, który, jak sam pisze, nigdy jeszcze zagadek nie układał, a dopiero teraz pierwszy raz, potrafił Pan ułożyć kilka zupełnie dobrych. — Spisu gazet może dostarczyć PAR. (Polska Agencja Reklamowa) w Poznaniu. — **Piotr Wenc** w S.: O szwagra najlepiej dowiedzieć się w konsulacie polskim w Buenos Aires; jakie warunki, nie wiemy. Za artykulik serdecznie dziękujemy. — **Juljan Józef Gębczak** w K.: Wierszyki zupełnie dobre; w miarę miejsca zużytkujemy. — **Ignacy Sojka** w D.: Rozwiązanie zagadek z Nru 52 było zupełnie dobre, przyszło jednak zapóźno. — **Wawrzyniec Kosiaty** w K.: W korespondencji Pańskiej większość twierdzeń jest nieprawdziwych, część przejaskrawionych, a naogół niezrozumienie całokształtu polityki polskiej. — **August Wasylecki** w T.: Tym razem wierszyki znacznie lepsze, znać duży postęp w twórczości. O ile miejsce pozwoli, któryś z nich zamieścimy. — **Józef Szczyrba** w P.: Czy taka szkoła na Śląsku polskim jest, nie wiemy. Możeby Pan napisał do szkoły lasowej we Lwowie, a tamby Pana poinformowali. — **Karol Gdyk** w D.: Za słowa pełne uznania dla naszej pracy serdecznie dziękujemy. Ma Pan słuszność, że należałoby raz skończyć z partyjnictwem w Polsce, a wziąć się do sumiennej i wytężającej pracy. Ale u nas większość ludzi tylko krzyczeć umie. — **Jan Buczek** w G.: Urząd Pośrednictwa Pracy nam zakomunikował, że najbliższy kontyngent, który odjedzie w marcu, jest już zapełniony i mogą Pana zaciągnąć do tej partji, która odjedzie w kwietniu. Niech więc Pan napisze do Państw. Urzędu Pośrednictwa Pracy w Krakowie, ul. Lubelska. — **Strządała Jerzy** w Z.: Za nowego prenumeratora dziękujemy. Nr. 1 i 2 z czekiem wysłaliśmy i polecamy się nadal. — **Józef Sagan** w W.: Podajemy adres: p. Jan Owca Nr. 35 w Kaszowie, poczta Liszki, który swojego czasu sprowadził takie maszyny i do niego niech się Pan zwróci listownie; załączyć znaczek na odpowiedź. — **Morawa Józef** w R.: 1 peso otrzymaliśmy i II kwartał ma Pan zapłacony. Pisma takiego nie znamy i adresu podać nie możemy. Za życzenia serdeczne dzięki. — **Gołyszny J.** w Z.: Prenumeratę otrzymaliśmy. — **Roman Głowacki** w P.: „Podróż po dalekich krajach będzie się ciągła jeszcze bardzo długo; mamy do tego dużo materjału wraz z pięknemi ilustracjami. — **M. Wawrzykówna** w P.: Za życzenia i nowego prenumeratora dzięki i załączamy serdeczne pozdrowienia. — **Franciszek Bartek** w B.: Za przysługę dziękujemy i polecamy się nadal. — **Tlak Franciszek** w W. B.: W tej sprawie niech się Pan uda do województwa lwowskiego. Informacyj może Pan zasięgnąć w starostwie w Jarosławiu. — **Jan Hędrzak** w T.: „Epizody wojenne" może ma „Sensacja", Kraków, Zielona 7. Co do innych wydań K. Miarki, to niech się Pan uda pisemnie do Mikołowa

Na fundusz wydawniczy nadesłali pp.:

Wł. Janczarek z Wilkołaza dla Maćka 50 gr., Zofja Jarolimowa z Dębicy dla Maćka 10 zł., Augusta Wagnerówna ze Szczakowej dla Maćka 2 zł., Aniela Wąsowiczowa z Nowego Sącza dla Maćka 5 zł.

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



2. Szarady.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

I.

Pierwsze drugie z geometrji znasz,
Trzecie, czwarte to zaimki masz
Całość w polskiej ziemi znajdziesz,
A więc myślę, że odgadniesz.

II.

Pierwsze zwierzę. Drugie trzecie
Znajdziesz ją na całym świecie;
Jest w cyrku i na okręcie,
Za to całość w górach będzie.

III.

Pierwsze wspak zaimek mamy,
Drugim zbiór drzew nazywamy,
A zaś kto całość posiada
Geografją nieźle włada.

IV.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

Druga pierwsza stoi sobie w moim pokoiku,
Zaś na morzu pierwszych trzecich widzi-
[my bez liku.
Pół pierwszego, pół drugiego zna kto gry-
[wa w karty,
Drugie wspak i pół pierwsze owad zły
[zażarty
Trzeci pół drugiego czernieje w oddali,
Na pół trzeci wspak drugi każdy się dziś żali.
Drugie pół trzeciego i osobno trzecie,
To dwa różne tony. Wszycy o tem wiecie.
Całość to roślina co nam strąki rodzi,
Dobrze przyprawiona i zjeść nie zaszkodzi.

3. Drobna szarada.

(Ułożył Piotr Glica z S. G.).

Pierwsze drugie sprzęt gospodarczy, na wsi
[znajść go można,
Służy nam przeważnie do przetworu zboża,
Drugie pierwsze wyraz gruby, ale dobrze
[znany,
Często po jedzeniu bywa używany.

4. Bilety wizytowe.

I.

Leon Symfonirzy
Praga

II.

Filemon Czyzbywryt
Balsora

Z powyższych biletów ułożyć zawód tych osób.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 23 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 1 „Roli": 1. Rebus: W zimie śnieg i mrozy, w lecie słońce pali; niewiadomo, czy to, czy tamto wytrzymać łatwiej. 2. Szarady: I. Porzeczki. II. Osika. 3. Przestawianka: Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka. 4. Bilety wizytowe: I. Konduktor tramwajowy. II. Elektrotechnik.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie wszystkich zagadek nikt nie nadesłał. Częściowe rozwiązanie nadesłał p. Władysław Gąsienica z Z. (1. 2. 4.). Wobec tego nagrody nikt nie otrzymał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Łapka na myszy.

— Poco się ożeniłeś? Czy ja za tobą latałam?

— Moja droga, i łapka na myszy za myszami nie biega.

Słuszne pytanie.

Na lekcji chemji: Tien jest do życia niezbędny. Został on wykryty w roku 1773.

— A jakże ludzie żyli przedtem?

Różnica.

— Jaka jest różnica między fortepianem a słoniem?

— Ta, że fortepian można zasłonić, a słonia nie można zafortepianować.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 13 stycznia b. r.

Pszenica	25·00—25 50	**Słoma długa**	6·50—7·00
Żyto .	18·50—19 00	**Ziemniaki stoł.**	6·00—6·50
Owies . .	21·50—22·00	**Koniczyna na-sienn. czer.**	000·00—000·00
Jęczmień .	20·00—20·50	**Mąka żytnia**	34·50—35·50
Fasola biała	42·00—45·00	**Mąka pszen.**	50·00—51·00
Groch zwyk.	27·00 - 32·00	**Otręby pszen.**	14·00—00·00
Siano słodk.	12·00—12·50	**Otręby żytnie**	13 00—00·00
Łubin żółty	27·50—28·50		

w dniu 13 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·90 do 1·28 zł.	Jałownik	od 0 85 do 1·24 zł.
Woły . .	od 0·85 do 1·35 zł.	Cielęta .	od 1·90 do 1·98 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·15 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·62 do 2·05 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·90 do 2.40

Znakomite Wyroby Wełniane

a to czapki podwójne i pojedyncze, skarpetki, rękawice z wełny krajowej i zagranicznej, pończochy i rękawice dla narciarzy, pończochy dla chorych na reumatyzm. Wszystkie wyroby są wykonane ręcznie i czysto wełniane, bardzo ciepłe i mocne wyrabia i poleca po cenach konkurencyjnych

Wytwórnia Tynieckich Wyrobów Wełnianych

Stanisława Kozła w Sidzinie 151, p. st. Skawina.

Cenniki na żądanie.

Znakomite płótna

na wszelkie bielizny, także stołowe i pościelowe, białe i kolorowe. — Silne materje, cajg, struks. — Dymki, ręczniki, chusteczki, ścierki, sienniki, drelichy, leżaki, chodniki i t. p. wyroby po cenach konkurencyjnych poleca:

L. JÓRASZ, Przemysł Tkacki, KORCZYNA, pow. Krosno.

Żywoty Świętych Pańskich

na wszystkie dni w roku, dzieło opracowane przez ks. Dra W. Galanta, ozdobione 366 ilustracjami, 740 stron, w ozdobnej oprawie, najnowsze poprawione wydanie, cena 12 zł. poczta 2.35 zł.

Wysyła: Wyd. „Czeczwa“, Rożniatów, Małop. ul. Stutyn W. 154

Adwokat Dr. D. Bulwa

Kraków, Grodzka 49 II. piętro

powrócił i urzęduje jak dawniej.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Sprzedaż częściowa i hurtowna.

Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.



Nowy Wynalazek XX. wieku!

Zegarek kryty „ANKIER“ ze złota

z trzema kopertami amerykańskiego **tylko za zł. 11.—**

zam. zł. 60.— nic nie różniący się od prawdziwego złota 14 kar. Wysyłamy na listowne zamówienie zegarek praktyczny, modny, ochraniający od kurzu, jak i od rozbicia się szkła, płaski wyregulowany do minuty „Ankier“ z gwarancją 15-letnią. 2 sztuki zł. 21.50. Lepszego gatunku 14, 16, 18, 24, 30, 35 zł. — Te same odkryte 6, 8, 13.50, 18, 22, 33, 45. Zegarek męski lub damski na rękę 11, 13, 15, 16, 23 zł. Budziki stołowe 10, 12, 14. Dewizki z amer. złota 1.50, 2, 3.50, 5, 8. — Za koszta przesyłki płaci kupujący. Reklamowy zegarek niklowy zł. 5, 6, 7.10.

Adresować: Do znanej firmy

„KOMERCJA“, Warszawa, ul. Dzielna 45. Oddział 3.

Otrzymujemy moc listów dziękczynnych.

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża) n. p.

Tokaj, Malagę, reńskie, stołowe i t. p.

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, ul. św. Tomasza 22.

(Tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).



WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce wynosi wraz z przesyłką Zł. 3.50

Do nabycia w Administracji „Roli“.